



Exz. archiwalny IBL

POLSKA

NA DRODZE POKOJU I MIŁOŚCI

PRZEZ

Walerego Wielogłowskiego.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KRAKÓW 1850.

W ZAKŁADZIE WYDAWNICTWA DZIEŁ KATOLICKICH
przy ulicy Floryańskiej pod L. 503.



WYTŁOCZONO W CZCIONARNI POD SOWĄ.

3597

<http://rcin.org.pl>

PRZEDMOWA.

Ktokolwiek dotąd pisał o Polsce a chciał być przez publiczność ze smakiem czytany, musiał w dobrej lub złej wierze wróżyć nieszczęśliwej naszej zapaśnicy niechybne zwycięstwa, i łudzić ją na łożu boleści nadzieją rychłego powstania. Wszystkie też pisma w ostatnich latach ku temu zmierzały, iżby ukryć przed sobą i ojczyzną rzeczywiste położenie, a wskrzeszać sztuczną podniętą gasnący ku nowym wysileniom zapal. Widzieliśmy: iż tę biedną Polskę, rozbrojoną, osłabłą, a w krwi i łzach tonącą, stawiano ciągle w szranki ku niemożliwej walce, bez obliczenia jój sił, bez opatrzenia jój ran, i bez namaszczenia ducha ku nowemu w prawdach religijnych i politycznych zmartwychwstaniu.

Nie ośmielimy się jednak na złą stronę przesądzać wewnętrznych zamiarów tej części ruchliwej społeczeństwa, która korzystając z powszechnej świata zawieruchy, trąbiła na cztery wiatry pobudkę narodowego wyswobodzenia; powiemy

tylko, iż była w błędzie tak co do pojęć o względnym usposobieniu narodu, jak i co do wyboru środków, oznaczeniu czasu i ocenieniu towarzyszących okoliczności.

Surowiej sądziłby nam wypadało politycznych szczwaczy, którzy pod pozorem zaprowadzenia ulepszeń towarzyskich kusili się rozbijać wszelką narodową spojność; lecz w tym sądzie wyprzedził nas już wyrok opinii publicznej, a więc nad skazanymi i powalonymi o ziemię pastwić się nie chcemy. Zresztą, nie wzięliśmy sobie za cel w niniejszym dziełku mitrzyć słabych sił naszych na walce ze złem dokonanym, lub też nudzić czytelników lamentem na smutne losy i czasu koleje, bo myślimy, że te wszystkie narzekania, acz słuszne, na próżno drażnią i wprowadzają w stan gorączkowy, a nic nie budują. Wolimy zatem nieść ulgę i pociechę, a dostawić choćby jedną cegłę do nowego gmachu, jak płakać w rozpaczliwym lenistwie na zwaliskach dawniej naszej dziedziny, lub upierać się z bracią o część wspólnych nam przewinień. Do przeszłości więc odwoływać się będziemy o tyle, o ile nam to ku rozjaśnieniu obecnego stanu posłuży, lecz weźmiemy za punkt wyjścia dzisiejsze położenie kraju, badając skrzętnie: w jakiby sposób służyć narodowi w tej epoce należało. Nie ma bowiem według nas ani jednej chwili w życiu narodów,

w którejby ludzie ojczyznę swą kochający pracowali dla jej dobra z większym lub mniejszym pożytkiem nie mogli; a chociaż niepodległość i wolność rozszerzają dla każdego pole poświęceń i działalności, to przecież i w ciasnym kółku niewoli da się dobro ogólne przysparzać, jeżeli się ku temu obiera stosowne i rozsądne środki.

Dwie są drogi, których naród używa ku odzyskaniu utraconej niepodległości; a na nichto rozchodzą się zwykle poświęcenia ludzi zarówno dobrze krajowi życzących. Pierwszą drogą jest: rewolucya albo wojna; drugą zaś: spokojne i ciągle rozwijanie się w cnotach prywatnych, rodzinnych i towarzyskich; pilne strzeżenie wiary ojczyściej, oraz języka i obyczajów, a nieustanny postęp w oświecie i godności wewnętrznej. Na pierwszej drodze przełamuje naród siłą oręża jarzmo obcej władzy, ale jeszcze nie zapewnia sobie warunków porządnej organizacyi, to jest: iż, zwalczywszy nawet złe zewnętrzne, może nosić wewnątrz siebie zaród śmiertelności. Na drugiej zaś wykształca w sobie siłę moralną oraz żywotność do tego stopnia podwyższa, że ta, górując nad złem zewnętrznym, zniewala go, rozbija, i w końcu zwycięża. Pierwsza droga należy więc do czasów pogańskich, a druga do chrześcijańskich. Pierwsza więc zadowalnia pychę narodu i ma źródło w zemście, druga płynie

z rozsądnej miłości kraju i dogadza rzeczywistym jego interesom. Piérwszej drogi użyć tylko można (z pomyślnym skutkiem) w bardzo rzadkich razach, a po drugiej bezpiecznie naród kroczy, mimo przeszkód stawianych i trudności względnego do obcych rządów położenia.

Że zaś po wielekroć próbowwała już Polska piérwszej drogi, a za każdym podźwignieniem miecza głębiej się w grób zapadła: przeto nie wahamy się stręczyć jój bezpieczniejszego środka, którego jeszcze dotąd mało zażyła.

Co do nas: oświadczamy sumiennie i otwarcie, iż, odstąpiwszy od wielu lat drogi burzącej i rewolucyjnej, nie pokładamy w niej nadziei naszych, ale całym sercem i duszą przechylając się za drogą spokojnego rzeczy publicznej rozwoju, na téj tylko drodze pracować dla kraju zamierzamy.

W tém więc dziełku nie mamy na celu rozbudzać szlachetnych zapewne, ale na teraz bezowocnych namiętności rycérskich, ani poważymy się wyzywać ojczyznę naszą do ofiar, któreby resztę jój sił wyczerpnęły, ale owszem postaramy się przekonać czytelników: iż można dużo lepiej i skuteczniej dopełnić obowiązków patryotycznych na drodze pokoju i miłości, a niżeli na drodze burzy lub krwawych zapasów.

Spodziéwać nam się wolno po wyrozumiałości ludzi przeciwnych nam opinij, że uszanują

w tém dobrą wiarę naszą (wspartą wieloletniém doświadczeniem) tak jak i my ich przekonania szanujemy, chociaż onych nie podzielamy; i że, czytając nas z bezstronnością (prawym ludziom właściwą), przyznają w wielu względach słusność uwag naszych. Dla nich téżto głównie to dziełko pisać postanowiłem; bo od nich, jako najczynniejszych w narodzie członków, zależy nadanie właściwego kierunku sprawie ojczystej. Jeżeli oni działalność swoją ku rozsądniejszym skierują drogom, i przestaną burzyć a zaczną budować, to staną się ważnym narzędziem w ratunku ojczyzny, a razem usprawiedliwią się narodowi z słusznego poniekąd zarzutu: „jakoby im mniej chodziło o dobro kraju, a niżeli o tryumf teoretycznych pomysłów w chorobliwej wyobraźni wymarzonych, lub podniesionych ze śmieci ulic niemieckich albo francuskich.“ Jeśli zaś, upornie stojąc przy swoim, postanowią szukać w zmaczonych wodach ojczystej sprawy połowu, to niechaj naprzód wiedzą, że już nie z bronią w ręku jako żołnierze, ale raczej z grabarzy rydłem ku pogrzebaniu zabitój Polski stanąć będą musieli.

Lecz nie!.. tę ostateczność trudno nam przypuścić, i wolimy raczej ufać: że ludzie, którzy bez broni i siły niewahają się piérwsi rzucić rękawicy stokroć liczniejszym nieprzyjaciołom, po-

siadają dōsyc wewnętrznej szlachetności, iżby, zwyciężając miłość własną, odstąpili błędu dla prawdy, i dość odwagi moralnej, iżby, przyznawszy się do fałszywej drogi, weszli śmiało na tę, którą za właściwszą i lepszą uznają. Gdybym się jednak zawiódł na bezstronności czytelników moich, i padł ofiarą zawistnej krytyki, to i wtenczas nie odrzucę kamienia przeciwnikom moim, ale wierny myśli pokoju, miłości i zgody, do czekam się ich przy narodowym zrębie, i powitam przy wspólnej pracy odbudowania tego, co ręka poniekąd obca zniszczyła, a cośmy także sami w gruzy potracili.

Pisałem w Krakowie dnia 15 grudnia 1849.

O WOJNIE I POKOJU.

W epoce dzisiejszej społeczeństwo nasze za zbyt się chełpi cywilizacją i dokonaniem w polityce postępem, abyśmy nie zwrócili uwagi na sprzeczność zachodzącą między celem ostatecznym postępu i oświaty, a środkami, których ludzie ku oniej rozwinięciu używają, i drogi, po której się ku mniemanemu szczęściu puścili. Dla tego rozbierzemy dwa główne pytania; najprzód: czyli wojna lub pokój jest ostatecznym zadaniem społeczeństwa, a powtóre, czyli postęp na drodze tylko wojny rozwijać się może i prowadzić do coraz większych swobód i korzyści. Jeżeli zaś posłuchamy głosu Bożego, albo się własnego sumienia zapytamy, łatwo się nam będzie przekonać: że nie wojna, ale pokój, jest ostatecznym celem człowieka, zakładem jego szczęścia, ostatnim kresem jego ziemskiej pracy i najwyższą nagrodą, jaką Bóg cnocie przyobiegał.

Kiedy zbawiciel urodził się dla świata, aniołowie Boscy powitali jego przyjście jako zakład pokoju, i wyspiewali sławny hymn po wszystkie wieki: „Chwała Bogu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi!“ i jakoż Pan nasz i zbawiciel, księciem pokoju nazwany, przy każdej okoliczności stawiał go jako najwyższe dobro, a nawet testamentem go światu zapisał, mówiąc:

„pokój daję wam.“ Zaiste, największe w tém dziedzictwo łaski swojej światu zostawił! Bo czémże właściwie jest pokój? Oto *harmonią*, będącą podstawą życia duchowego i fizycznego, *równowagą*, na której się wszelki stosunek świata materyalnego i świata moralnego opiera. Pokój więc nie jest to znieruchomienie i stan śmierci, ale przeciwnie jest on życiem wedle zasad harmonii i równowagi urządzoneń. Widzimy, iż gdy człowiek, zajęty ważną jaką sprawą, jest przez drugiego w pracy swój natrętnie przeszkodzonym, odzywa się: „*daj mi pokój!*“ O cóż on się wtedy upomina? czyliż żąda, aby go zostawiono w znieruchomieniu? bynajmniej; dopomina się właśnie o wolność spokojnego rozwijania swój pracy. W życiu przyszłego świata (najpełniejszym, bo duchowym i wiecznym, w życiu, mówimy, w którym istnienie nasze zléwa się z Bóstwem) pokój jest także głównym przymiotem i warunkiem szczęścia, a najdawniejsze ludy życzyły zmarłym odpoczynku czyli pokoju na łonie Bożém. Świat przeto obecny i przyszły, ziemia i niebo, materya i duch, wspólny mają cel osiągnięcia pokoju, czyli urządzenia się wedle najwyższéj harmonii, zgody i równowagi.

Pokój przeto, wzięty bezwzględnie, nie wyłącza ani ruchu, ani pracy, ani postępu, ale owszem jest warunkiem życia, pracy i postępu harmonijnie i zgodnie urządzonych. W dawnym języku polskim: *koić*, oznaczało przynosić ulgę w cierpieniu i boleść uśmierzać, oznaczało właśnie doprowadzić czyto ciało czyli téż ducha do jego normalnego stanu, a ztąd *ukoić*, czyli uspokoić, znaczy uharmonionować, zrównoważyć i urządzić w sposób błogi i zgodny.

Pokój wewnętrzny w pojedynczym człowieku jest zgodą i równowagą wszystkich władz duchowych, a ra-

zem objawia harmonią pomiędzy wolą człowieka a prawem wyższem; jest on zarazem stanem największej błogości, jakiej człowiek na ziemi używa; zakładem uprzejmego z drugimi pożycia i zadatkiem nieraz wiecznej szczęśliwości. Rozlewa się on na zewnątrz i udziela drugim, a niewyczerpany w swych dobrodziejstwach stanowi dla człowieka źródło pomyślności.

Pokój w rodzinie i domownictwie jest także ową harmonijną kombinacją względnych obowiązków, które, przez sprawiedliwość zrównoważone a z miłości płynące, stanowią zgodę uczucia, uprzejmość w pożyciu, jedność w działaniu, wspólność w celu i podział przyzwoity w środkach i w pracy.

Pokój w narodzie jest owém roztropnóm oznaczeniem względnych obowiązków pojedynczego obywatela lub rodziny do całego społeczeństwa; i nawzajem przyznaniem każdemu praw, z dopełnienia obowiązków wynikłych. Słowem: jestto stan, w którym nastąpiło zrównoważenie praw z obowiązkami, wolności z ładem i połączenie ogniw w taką całość zbiorową, iż pojedynczy człowiek o tyle jest szczęśliwym, o ile to szczęście czerpie ze źródła powszechnéj zgody i pomyślności; i nawzajem: całe społeczeństwo, solidarnie za prawa pojedynczym swym członkom przynależne odpowiadając, nie boi się, aby część pokrzywdzona mięszała jego harmonią.

Wszystko więc począwszy od człowieka, rodziny i narodu aż do ludzkości, i począwszy od najmniejszego stworzenia w świecie materyalnym aż do ruchów planetarnych, potrzebuje opierać się na układzie harmonijnym, i tak wewnątrz jak i względnie reszty Bożego utworu zostawać w pokoju. Jak pogoda w atmosferze ponadziemskiej jest stanem zwykłym, błogim i upragnionym,

a zawierucha, słońca albo burza przychodzi wyjątkowo zachmurzać pogodny horyzont a nieść plagi lub zniszczenie, tak też pokój jest ową pogodą duszy, upragnioną tak dla ludzi pojedynczych jak i dla narodów, a stan wojny uważać tylko można za wyjątkowy i zawsze w środkach okropny, chociaż szczęśliwym nieraz skutkiem usprawiedliwiony. Chodzi więc głównie o to: aby każde społeczeństwo, chełpiące się oświatą i cywilizacją, a powołujące się ciągle na wzniosłość wyobrażeń w wieku naszym rozwiniętych, zgodziło się na tę zasadę: iż *pokój* a nie *wojna* jest ostatecznym zadaniem społeczeństw, a tym samym: iż przyjmując stan walki jako wyjątkową a często nieszczęśliwą konieczność, nie chce go uważać za stan ciągły, zwyczajny, za warunek postępu i cel powszechnego szczęścia, i również: że przyjmując tylko stan wojny jako karę, szukać go i wywoływać nie zapragnie, ani też w nim upatrywać będzie warunków wolności i swobód narodowych.

Jakże jednak dójść do tego pokoju? Przysłowie pogańskie mówi: „Iż kto chce pokoju, niech się gotuje do wojny;“ i to przysłowie tak poszło w smak światu, że każdy, w kolce uzbrojony, odstrasza sąsiada, ale go też i odstręcza; i chociaż broni się od napaści, to też oddala wszelką przyjaźń i zaufanie. Języć się ciągle i rozgraniczać murem, aby się wzajemnie od zagłady ochronić, jestto stan, który dowodzi, że człowiek zamiast doskonalić się ku anielstwu, do zwierzęcego powraca stanu.

Cóż więc stoi na przeszkodzie do rozwinięcia zasad pokoju? Zdaje nam się, iż trzy główne powody: pycha, zawiść i kłamstwo.

Pycha, z której pnia głównego rozrastają się szerokie gałęzie zazdrości i podejrzliwości, daje zawsze pierw-

szą pobudkę do walki. Ona w sercu ludzkim jest głównym zaczynem na wszelki kwas. Czyli zaś silna i potężna objawia się w groźniejszych skutkach, lub też płaska i mała szamocze się w nędznej próżności, zawsze ona, i wszędzie ona, wywołuje walkę, i ogień zniszczenia podkłada. Jeżeli zaś głównym powodem wewnętrznój lub zewnętrznej wojny tak w indywidualach jak i w społeczeństwie jest pycha, to przecież umie ona się odziać tak pięknymi formami poświęcenia i godności, a nawet tak się płaszczem miłości Boga i bliźniego a przywiązania do ojczyzny okryje, iż nie tylko od nagany się ustrzeże, ale nawet do pokłonów zmusza ludzi dobrodusznych, lekkliwych i próżnych; bo rzecz dziwna! iż próżność zawsze najniżej kłania się pysze, jakby swojej starszjej siostrze. Gdyby każdy człowiek przejrzał z bezstronnością dzieje własnego sumienia, to przekonałby się łatwo, iż powodem wewnętrznego niepokoju i walki z sobą i z drugimi, była zawsze pycha, a co najmniej, próżność, którą on w chwili poczucia piérwszych poruszeń nazwał sam u siebie szlachetną ambicyą, godnością i obowiązkiem bronięcia praw mu należnych czy to duchowych czy fizycznych. Toż samo na większy rozmiar zastosować można do życia społeczeństw i narodów. Chociaż zaś pycha nie da się odłączyć od uczucia wrodzonej niepodległości, to przecież tak gwałtownie wypręża się ku osiągnięciu ostatecznego swego celu, iż nie tylko wspina się nad siły, ale czasem zniża się do podłych zabiegów i fałszywej uległości, byle doszła do założonej przez siebie mety; podobna do tygrysa, który się płaszczy i przyczaja wtenczas, kiedy na łup skok odległy rozmierza. Ta pycha, dziedzictwo po strąconych z nieba aniołach, wlecze się za każdym jak kula więzienna i dźwiga ją zarówno bo-

gaty jak i ubogi, mądry jak i głupi; objawia się zaś w tém: że każdemu się zdaje, iż nie jest we właściwém stanowisku, że go Opatrzność do wyższych celów przeznaczyła, i że mu tylko ktoś inny miejsce przynależne zabrał. Ztąd podejrzliwość i zazdrość a następnie ochota do walki, usprawiedliwioną obroną lub odzyskaniem praw swoich. Ztąd początki zawiści usprawiedliwioną oporem strony przeciwniej, niedającej się zepchnąć z zajętego stanowiska. Lecz co więcej: pycha nie tylko jest źródłem zazdrości, ale jest też i chciwością, albowiem chciwość jest tylko zamiłowaniem środków dogadzających pysze.

W porządku społecznym pycha jest rodzicielką demokracji i arystokracji, czyli jednych, którzy zazdroszczą stanowiska, a drugich, którzy go niezużyteczniają. Słowem, czyli to wpatrzmy się głębiej w powody zaborów i niesprawiedliwych na cudzą narodowość napaści, czy na rewolucye społeczne, rozlewające krew bratnią (w upomnieniu się nibyto o prawa ludowe a wywoływane najczęściej pychą niedorostków), lub też bliżej nas rzucimy okiem na to wyprężanie się pretensjonalne niższych stanowisk społecznych względem osób, które z wiekowych podań zajmują wyższe szczeble hierarchicznego porządku, to zawsze dostrzeżemy, iż głównym powodem walki jest pycha, i ona tylko łamie harmonią między konieczną różnaitością, zgodnie z sobą żyć przeznaczoną.

Dzieje nas uczą, iż pierwszy Kaim zapalił pochodnią wojny; i widzimy, że w duszy jego bodźcem do mordstwa była pycha, bo znieść nie mógł, aby dym ofiarny, czyli chwała jego, wlokły się po ziemi, kiedy rodzzonego brata pokorne poświęcenie wznosiło się ku niebu. Zabił więc niewinnego nie w obronie praw swoich, nie wetując krzywdy żadnej, ale w zazdrośnym współubieganiu się o

chwałę, która mu się nie należała, i której mu Bóg nie przyznawał.

Wszystkie wojny i zajścia, czy to na drodze moralnej walki słowem lub piórem dokonane, czyli téż w krwawém zapaśnictwie siłą miecza poparte, zawsze toż samo mają źródło, to jest: pychę zazdrośną, pychę chciwą, pychę podejrzliwą, pychę, przenikającą szpik kości ludzkich.

Dopóki jednak ten jad duchowy, wrabiający się w pasmo życia, uważanym jest w społeczeństwie jako grzech przeciwko Bogu, ludziom i przeznaczeniu człowieka, dopóty rośnie on obok innych cnót narodowych tak, jak rośnie grzyb wśród dębów, które go wspaniałością i wzrostem przewyższają. Ale kiedy pycha, zamieniona w system i obleczone w pewną formułę i społeczne godło, o władnie większość narodu, wtenczas następuje ferment, stan walki, wzburzenia a później rozkład i śmierć.

Ludziom się zdaje, iż pycha jest mocną, albo dodaje siły, i wielu kształci niemal w sobie pychę czyli tak nazwaną (uprzejmie) *ambicyą*, w mniemaniu: że zyskują na potędze. Otóż tu jest wielki fałsz. Prawda, iż pycha znaczny ciężar podźwignie, ale go nigdy daleko nie zaniesie; lada wiatr ją przewróci i na pierwszej przeszkodzie utknie. Siła pychy jest jak siła każdego fermentu, czyli zakisu; najprzód płyn zmacony wysoko podniesie, ale później, kiedy przyjdzie fermentacja octowa, płyn nazad opada, a wkrótce później nastąpi fermentacja zgniła, czyli psucie się zaczynu. Otóż pycha może wzburzyć, ale nie umie zwyciężyć, i nie umie nigdy sprawy poczętej na wysokości stanowiska pierwszego utrzymać. Kiedy się pycha nazywa grzecznie *ambicyą*, i kiedy się rozpięra na dyplomatycznym krześle, albo zamieszkuje stare zamczyska i pałace, które czas oszczędził, wtenczas jest

szkodliwą, gwałtowną i czasem zabójczą, ale mniej obmierzłą. Lecz kiedy ta sama pycha, obwalana błotem ulicznym, potrząsa łachmanami i grozi przerażonemu światu spustoszeniem, mordem i łupieństwem, wtenczas przybiera taki wyraz dzikości i barbarzyństwa, iż nie tylko wywołuje najwyższy wstręt, ale razem takiej wzdęty jest godną, na jaką tylko serce uczciwych ludzi zdobyć się może. Ten ferment uliczny, kipiący brudami miasta, z krwią ludzką zmieszany, jest obrazem piekła i jest też piekłem na ziemi.

Naturalnym często uczuciem w człowieku jest gniew i oburzenie, ale nienaturalnym uczuciem jest zawiść. Gniew często jest wyrazem obrażonej sprawiedliwości w człowieku lub w narodzie, jest dopomnieniem się groźnym o pogwałcone przez kogokolwiek prawa; i dla tego człowiek, zupełną zachowując godność a nawet miłość, gniewać się i oburzać może, wszakże pod żadnym względem ten gniew aż do zawiści przychodzić nie powinien. Gniew może połączyć się z pokorą, a zawiść tylko z pychą w parze chodzi. Gniew przypuszcza pojednanie, zawiść wywołuje zemstę i walczy do pierwszej śmierci. Że zaś granica między gniewem a zawiścią tak jest wąską, iż mało się kto spostrzeże, gdy ją przekracza, przeto Chrystus powiedział, iż dozwalać nie powinniśmy, aby słońce zaszło przed zgodą zwaśnionych. Czemże zaś właściwie jest zawiść? jest uporem w gniewie podsyconym i żywionym przez pychę.

Naród, w którego łono wciśnie się zawiść (rozdzielająca między sobą mieszkańców), i naród, który ją przyjmie za podstawę i bodziec ku skutecznieniu reform społecznych: naród mówię taki, choćby miał rząd swój, wojsko własne, fortece i skarby, istnieć mimo tego nie może,

bo serce jego rak wewnętrzny toczy, a piers jego ogniem trawiącej gorączki płonie.

Całość jest w jedności, a jedność w harmonii; ta ostatnia przy zawiści ostać się nie może, a więc naród, który jój ulega, trawi się własną trucizną i umierać musi.

Trzecia przeszkoda, tamująca rozwijanie się pokoju, czyli życia wedle harmonii urządzonego, jest *fałsz*. Fałsz mówimy, czyli *kłamstwo*, gdziekolwiek się ono objawia, czy u góry czy u dołu, czy w sprawach prywatnych czy w publicznych, czy w słowie czyli w czynie, fałsz u góry nazwany zręcznością dyplomatyczną, u dołu oszustwem, w salonie nieszczerą uprzejmością, w religii hipokryzyą, w stosunkach prywatnych obłudą, w filozofii sofizmem; fałsz wszędzie jeden w mniejszej lub większej potędze, rozrywa, dzieli, mąci i wywołuje koniecznie wzburzenie, zamieszanie i walkę. *Prawda* jest jedna i dwu prawd być nie może; ale fałsz jest tak rozmaity, iż gdyby się ludzie nawet na fałsz zgodzić chcieli, to moralnie i materialnie nie potrafia; albowiem wybór między niezliczonymi odcieniami fałszu staje się dla nich prawie niepodobnym. Społeczeństwo jest jak koncert złożony z doboru rozmaitych instrumentów, na jeden ton nastrojonych, i wtenczas stanowi harmonią, kiedy te różne narzędzia muzyczne, mniejsze i większe, głośnie i ciche, w jednym tonie i wedle jednakowego czasomiaru czyli taktu w ruch są wprowadzone. Niechże teraz kilka instrumentów wśród zgodnej melodyi fałszem zabrzączy, a co gorzej jeszcze, niech wszystkie z innego tonu i w rozmaitych taktach choćby najpiękniejsze odgrywały melode, to nikt nie będzie zdolny wytrwać w słuchaniu takiego koncertu.

Fałsz, nadużywając dobrej wiary drugiego, jest największą obrazą jego ducha; dla tego cierpka prawda tyle

nie budzi w sercu bliźniego zawiści, ile fałsz i kłamstwo w zdradliwej nie raz formie uprzejmości i życzliwości podane. Wszelką obrazę prędkiej się wybacza jak zdradę i podejście, bo rzecz dziwna: iż ludzie, mimo, że się prawdą nie rządzą, to przecież tak się o nią u drugich dopominają, iż dla nich obraza prawdy staje się osobistą obrazą, a zdradzony nigdy téj krzywdy nie zapomnie. Słowem, fałsz czyli kłamstwo jest jakby zwodziciel wabiący ludzi na bezdroża i jest jak pokusa, która piérwszy wyzew daje ku niezgodzie i walce. Jak zaś fałsz jest rzeczą szkaradną, z tego się każdy przekona, iż nikt się do niego przyznać nie chce, lecz każdy kłamstwo własne *prawdą* rad nazywa i jako taką drugim podaje. Gdzież więc jest owa prawda nieomylna i stanowiąca zakład pokoju, prawda, przeciwko której ani pycha ani zawiść ludzka podnieść się nie zdoła? Ta prawda jest tylko w Bogu i w ustawodawstwie Bożém, i w porządku społecznym na prawie Chrystusa osnutym. Wszystko, co się na téj prawdzie gruntuje i z téj prawdy płynie, jest nieomylném; wszystko, co mu się sprzeciwia, jest fałszem. Któż zaś jest podawcą téj prawdy? śmiało i stanowczo odpowiadamy: jeden tylko kościół, który objawioną prawdę Bożą bezpośrednio od Boga samego słyszał, przyjął i przywilej rozgłoszenia, wyjaśnienia, zastosowania i przechowania onéj z rąk Bożych odebrał. Niechaj więc kłamstwo napróżno się nie chełpi, iż wynalazło inne źródło prawdy, czyto przy kościele, czyli obok kościoła lub ponad kościołem. Bóg ani dwu prawd, ani dwu źródeł prawdy nie zostawił.

„Środkiem uzyskania pokoju (mówią niektórzy) jest walka.“ Zapewne, ale walka z fałszem a nie walka dwu lub więcéj fałszów między sobą. Walka cnoty z grz-

chem, ale nie zazdrosne zapaśnictwo dwu grzechów, wspólnie się o panowanie nad prawdą dobijających. Wreszcie wyrażenie ewangeliczne o „*walce* i o *mieczu*“ nie stosuje się ani do wojny ani do rewolucji społecznej, ale raczej do owjej walki wewnętrznej, którą człowiek sam z sobą i w sobie odbywać musi, aby prawdzie Bożej we własnym sercu zapewnić zwycięstwo. Pogańska rada opiewa: „*iż naród, który pragnie pokoju, winien się gotować do wojny,*“ a to zdanie rządzi światem i wszyscy wyteżyli łuki, a w serca ku sobie mierzając, pragną szukać pokoju w śmierci. Tymczasem, nie w śmierci ale w życiu jest pokój, i ten tylko znajdzie zwycięstwo, kto przede wszystkim szuka pokoju.

Trzy zaś są warunki pokoju: *miłość*, *pokora* i *cierpliwość*. Miłość, płynąca z wiary, to jest w Bogu poczęta a w świecie żyjąca; miłość, która jak promień zstępuje z góry na ziemię i zagrzewa ją, upładnia i zarówno udziela się cedrom Libanu jak i najmniejszej trawce wśród puszczy wyrosłej. Miłość niewyczerpana jak jej źródło w Bogu, a święta i czysta jak jej niebiańskie pochodzenie. Tę miłość chcieli przezwać w tym wieku arystokraci *miłosierdziem* a demokraci *braterstwem*. Pierwsi nie rozumieją miłości po za materyalną jałmużną, a drudzy nie rozumieją jej po za równością majątkową. Pierwsi dając nie kochają, drudzy biorąc nie proszą ani dziękują. Pierwsi pogardzają, drudzy nienawidzą, a jedni jak i drudzy są przeczeniem miłości, i oddalają coraz więcej Boga, szczęście i pokój od społeczeństwa. Że się arystokracja do braterstwa demokratów przyznać nie chce, to nie dziwne: bo każdyby się takiego brata wyrzekł, który ostrzy miecz na cudze gardło a zazdrosnym okiem spogląda na cudzą własność. Że się zaś demokracja upamiętać nie

może i nie chce, ale surowo sędzi wyższe stanowiska, to i to nie dziw: bo te wyższe warstwy społeczeństwa w zaklętém uwiązły kole zbytków, samolubstwa, pychy i próżniactwa, wydają się jakby stojące bagna, przez które woda nie przepływa, ale w których gnije wiekowy już namuł. Te dwie warstwy ludzi porównałyby się dały do dwu przedchrześcijańskich społeczeństw: *Żydów* i *pogan*. Bo w istocie tak nazwana arystokracja dzisiejsza, nie licząc w to szlachetnych wyjątków, odziedziczyła wszystkie wady starozakonnych, to jest: upor, pychę rodową, wzgardę dla innych, przestrzeganie form a niechęć przejęcia się duchem praw Bożych i kościoła; kiedy przeciwnie demokracja odziedziczyła pogańską dzikość, duch buntu plebejuszowskiego i ten brak poszanowania dla wszelkiej władzy, oraz dla życia, sławy i własności cudzej. Przypatrzwszy się społeczeństwu dzisiejszemu od góry aż na dół, zdawałoby się, iż łaska odkupienia spłynęła tylko po wierzchu sumień, ale nie weszła w duchowy organizm życia ludzkiego. Zdawałoby się, iż mimo piętna synów Bożych, które odebraliśmy, nic między nami a Chrystusem niema wspólnego. Prawda, iż większość wierzy w Chrystusa *w niebie*, ale w to nie wierzy, iż mamy obowiązek żyć wedle Chrystusa na ziemi; bo gdyby wierzyła, toby żyła po chrześcijańsku a nie po żydowsku lub pogańsku. Czyliżby duch miłości dopuścił, aby dwa fałszywe arystokracji i demokracji dzieliły społeczeństwo, które ma wspólny cel życia, i które wzajemnie pracować i zbawiać się jest przeznaczone? Miłość przypuszcza hierarchią, przypuszcza *podziały*, ale nie przypuszcza *rozdziatu*. Widzimy też, że w rodzinie jest hierarchia i podział na osobowość a przecież nie ma rozdziatu. Jeżeli więc krew w taką jedność rodzinę splata, o ileż więcej duch miło-

ści w Bogu poczętej łączyć ludzi powinien! Lecz miłość w tym wieku stała się niemal czczym wyrazem; filozofowie i politycy chcą poprawić Boga i niemal z szeregu przymiotów ducha ludzkiego tę cnotę zasadniczą wykreślili. *Ludzie miłością rządzić się nie mogą*, mówią oni, *i jedynym węzłem stosunków jest interes, jedynym prawidłem jest rozum, a jedynym prawem jest siła*. Te trzy wyrazy: *interes, rozum i siła*, utworzyły stan dzisiejszy, i z nich jakby ze zrównania matematycznego ostatni wypadek musi być koniecznie walka na śmierć.

Ojcowstwo w źródle prawdy, miłości i powagi początek biorące, w którym spoczywa rzeczywiście zasada wszelkiej władzy, począwszy od władzy Bożej aż do władzy ojca w rodzinie, zdawało się być przestarzałym i niestosownym godłem dla władz tegoczesnych. Odsyłano tę zasadę do czasów pasterskich, uważano ją za zbyt serdeczną, romantyczną, za zbyt naturalną i religijną. Powiadają: „iż w pierwszych wiekach istnienia narodów, w wiekach barbarzyństwa, władza patryarchalna wystarczała, ale dziś, w miarę oświaty i postępu, władza potrzebuje rządzić się rozumem i siłą.“ Dziękujemy za takie czasy oświaty i postępu, w których tylko trwoga utrzymuje pokój, a siła bezpieczeństwo wzajemne zaręcza; prosimy zaś o zwrot tych czasów barbarzyństwa (o których tak pogardliwie wspominają politycy), w których miłość, starszeństwo i powaga ojcowska rządziły, i one wystarczały. Piękna mito oświata i szczęście z niej płynące, które doprowadziły nas do takiego stanu, iż tylko siłą bagnatów przez jakiś czas rządzić nami można!... Niech się napróżno nie kusi ani *braterstwo polityczne demokratów*, ani *zmarzła filantropia filozofów*, ani *zręczność dyplomatyczna polityków*, zastąpić miłość płynącą z Bo-

ga, płynącą z wiary; bo ich sztuczne środki oddalić tylko mogą na chwilę nieszczęście wiszące nad światem, ale złego nie naprawią, ani pokoju nie zaręczą. Śąto szkarpy, które trzymają budynek, w którym fundament został poderwanym, i które razem z nim runą.

Miłość, w prawie chrześcijańskim, nie jest ustawą dodatkową, ale jest podstawą wszelkiej innej ustawy. Nie dotyczy się ona samych stosunków prywatnych, ale jest punktem wyjścia we wszelkich stosunkach ziemskich i stosunku ziemi z niebem. Roztropność ją urządza, ale jój nie wyłącza, ani jój nie zastąpi. Rozum jest jój towarzyszem, ale nie jest ani jój ojcem ani panem. Chcieć więc pokoju, zgody i harmonii a nie chcieć miłości, jest to żądać skutku bez przyczyny i chcieć jedności albo całości bez połączenia części. Rzecz dziwna: ludzie rozumieją przyjaźń, a nie rozumieją miłości. Dla czegożto? Oto, bo przyjaźń jest uczuciem (że tak powiemy) świeckim, ziemskim i naturalnym. Że zaś miłość ma swój początek wyższy, bo w Bogu, przeto ludzie ołowianej myśli tak wysoko sięgać nie chcą i wolą bez miłości cofać się do zwierzęcego stanu, jak przez miłość dążyć ku anielstwu. Wolą zabijać się po ludzku, jak żyć w pokoju po Bożemu. Dopóki więc miłość chrześcijańska nie odzyska panowania, dopóki wskrós nie przeniknie wszystkich ustaw, urzędzeń i stosunków społecznych, dopóty mimo nazwy chrześcijańskiej życie nasze i obyczaje będą pogańskie, i dopóty prawo zwierzęce, prawo siły urządzać nas będzie; krew potokami popłynie i spustoszenie rozściele się po ziemi; albowiem Bóg nie piérwój uwolni ludzi od ofiary ciała, dopóki nie złożymy mu w zamian ofiary ducha w miłości dla bliźnich i w zamiłowaniu zasad pokoju.

Pokora jest zadatkami pokoju, gdy płynie z miłości w Bogu pojętej, a jest zadatkami niewoli i śmierci duchowej, jeżeli płynie z fałszu. W pierwszym wypadku nazywa się uległością i posłuszeństwem, a w drugim podłością, obłudą i pochlebstwem. Pokora w człowieku powinna być uczuciem naturalnym, bo ma źródło w nieodzownej zależności, w jakiej jest stworzenie od stwórcy, czyli skutek od swęj przyczyny; a że władza Boga jest rzeczywistą i konieczną, przeto uległość, czyli pokora człowieka względem władzy Bożej, jest tęż konieczną i niezbędną. Bóg wszakże dla utrzymania harmonii i ładu między ludźmi upoważnia ramiona ludzkie do sprawowania swoich rządów, czyto w obrębie rodziny czyli tęż narodów, a przeto względem tych zastępców Bożych na ziemi winniśmy tęż samą uległość, jaka się Bogu od nas należy, albowiem w nich delegacją władzy Bożej szanujemy. Że zaś pokora względem Boga powinna być szczera i wypływać z miłości a być ofiarowaną w zupełnej wolności ducha, inaczej bowiem więcej Boga obraża aniżeli zniewala, przeto pokora względem tych, którym Pan Bóg władzę nad nami udzielił, powinna także nosić tę cechę prawdy, sumiennosci a razem godności chrześcijańskiej i wolności duchowej, która rozgranicza posłuszeństwo od służebnictwa i uległość od podłości. Nie ma cnoty na świecie, któraby mniej była zrozumianą w dzisiejszym wieku i mniej wypełnianą jak pokora. Skrzywiono zupełnie znaczenie tego wyrazu: bo tych nazywają pokornymi, którzy raczej są podłymi, to jest: którzy się płaszczą i kłaniają zarówno Bogu i szatanowi, chociaż Boga i szatana radziby oszukać i na własną korzyść ich siłę obrócić. Nazywają pokornymi ludzi, którzy się uniżają i pochlebiają, a mimo tego pychę i chciwość w sercu

noszą; kiedy przeciwie pokora z samolubstwem, pychą i chciwością, z podłością i niewolnictwem nigdy w parze nie chodzi. Pokora bez wolności ducha i bez miłości jest coś tak obmierzłego, że Bóg i ludzie przekładają nad nią zuchwalstwo; albowiem podły niewolnik, oddając zwycięzcy i ducha swego, którego nikt w człowieku podbić nie może, staje się własnością rzeczową, lichym sprzętem na tandetę świata wystawionym. Taki rodzaj fałszywej pokory czyli raczej podłości nigdy pokoju dla świata nie zapewni, bo jest tylko pychą lub chciwością w barwę pokory ustrojona. Władza, czy to w rodzinie, lub téż w narodzie, na taką pokorę liczyć nie może, ciągle obawia się zdrady, przedsięwzięcie środki ostrożności i mniej czasem zuchwalstwem się trwoży aniżeli tą słodką uległością, która jak żmija pełza najniżej a przecież tajemny jad wyrabia. Pokora chrześcijańska jest to szczére poddanie się woli Bożej, z zachowaniem wiary, miłości, nadziei, godności i wolności ducha. Jestto ów szczéry hołd posłuszeństwa Bogu i jego prawu a razem ustawom ludzkim z prawa Bożego płynącym; jestto owo wewnętrzne zadowolenie z wszelkiego stanowiska, jakie Opatrzność w kombinacji towarzyskiego układu człowiekowi naznaczyła; jestto wreszcie owa zdolność szczérego, sumiennego zrównoważenia się ze wszystkimi innymi pozycjami w społeczeństwie, przez którą człowiek, odstępując dobrowolnie oceniania się własnego, sąd ten o sobie Bogu i bliźnim zostawia; czyli jedném słowem: *pokora* jestto zrzeczenie się miłości własnej na korzyść Boga i bliźnich. Taka pokora zaręczyć tylko pokój światu zdoła; bo jeżeli każdy zrobi ofiarę z miłości własnej dla bliźniego, a wszyscy razem poddadzą się prawu Bożemu, to jakież mógłby być powód do walki? Nie ma nikogo na świecie, któryby nie

przyznał, iż pokora jest warunkiem zgody, wolności i pokoju, ale mało kto o tém wie, że warunkiem pokory jest posłuszeństwo, i że bez niego pokora jest czczym wyrazem. Nie trudno więc być *pokornym*, ale nader trudno być *posłusznym*, a przecież bez posłuszeństwa nie ma ani pokory, ani pokoju, ani szczęścia. Wyznać się kornym względem Boga, a być nieposłusznym jego prawu i jego rządowi, jestto stać w buncie przeciwko Bogu i wyznawaną cnotę czynem zaprzeczać. Nazywać się poddanym władzy (jakiéjkolwiek na ziemi), a być jój nieposłusznym, knować spiski, pracować dla jój poniżenia, jest to obciążać własne sumienie tajemną zdradą i podstępny fałszem. Przyznawać bliźniemu zalety, przyznawać prawdę jego rad i uwag, być jego zdania, wchodzić w myśl jego, a przecież czynić przeciwnie i działać wspak uznanej prawdzie, jestto oszukiwać bliźniego udaném przyzwoleniem i posłuszeństwem, czyli uwodzić go fałszywą pokorą. Pokora ustępuje, ale nie zawsze przyznaje, kiedy przeciwnie podłość przyznaje, a nie ustępuje. Od zrozumienia więc pokory, będącej zaprzeniem siebie dla Boga i dla bliźniego, zależy po większej części pokój między ludźmi, pokój narodów, pokój świata. Dzisiaj podłość i zuchwalstwo podzieliły między siebie nasze społeczeństwo. Olbrzymy się płaszczą, a karły na palcach wspięte nadymają. Lwy na służbie u lisów, a małpy dumne z arlekińskiego stroju z wysokości wielbłądzich grzbietów (na które je sztukmistrz podrzucił) przejeżdżają się pełne dumy i pychy po ulicach stolic, i pogardliwie a nawet często i groźnie na tłum otaczający je spoglądają. Gdyby ta przemiana stanowisk nie była smutną i groźną rozkładem i upadkiem całego społeczeństwa, to byłaby na



chwile śmieszna i ciekawa, bo jest w istocie nadzwyczajnym zjawiskiem.

Trzecim warunkiem pokoju jest cierpliwość, która jest razem najsilniejszą bronią przeciwko napaści, nużąc wszelką siłę i moc w przeciwniku; sama zaś niezużyta coraz większej nabywa potęgi. Aby cierpliwość nie przybrała znamion obojętności, upodlenia i niewolnictwa, musi wypływać z miłości i pokory, i mieć za nierozłączną towarzyszkę uczucie godności. Tak pojęta cierpliwość jest jakby skała, o którą się rozbijają wszystkie nawałności, i ona też będąc głównym warunkiem pokoju zwykle uprzęda waśń, nie dopuszcza walki, a wszczętą rozbija. Nie małego jednak zadanie dla człowieka i dla narodu umieć z godnością cierpieć i wśród cierpienia zachować miłość i pogodę umysłu. Trzeba w wyższej prawdzie szukać siły usposabiającej serca do téj bezbronnej walki z prześladowaniem; trzeba wierzyć, iż Bóg nie zemście ale cierpliwości zaręcza ostateczne zwycięstwo, aby znieść napaść bez odwetu i cierpieć bez upodlenia. A przecież tysiączne mamy dowody, iż nic się tak prędko nie zmęczy jak ręka, która chłoszcze cierpliwego, i nic się tak rychło nie przytępi jak miecz, który go kałeczy. Ciało cierpliwego odbiera hart żelazu, a pogodnie spojrzenie umiającego znosić boleść i prześladowanie miesza dziki wzrok zawistnych nieprzyjaciół. Człowiek cierpliwy wnosi z sobą pokój do każdego domu, naród cierpliwy uśmierza namiętności wojenne, lub staje się rozjemcą między walczącymi. Ale co więcej, naród cierpliwy zwycięża bez walki i wzbogaca się łupem walczących, bo *ziemia obiecana mu jest w nagrodę* według wyrażenia pisma: „błogosławieni ciszy, albowiem oni odziedziczą ziemię“ (Mateusz roz. V. w. 4).

Stosując to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli o wojnie i pokoju, do ojczyzny naszej, o której się zawsze myśli i dla której najpierwsze po Bogu mamy obowiązki, zrobić koniecznie musimy spostrzeżenie, iż Polska, od jakiegoś czasu na przekór niemal Opatrzności i własnemu interesowi, nie umie zużytecznie swego położenia i miłosierdzie Boże od siebie oddala. Jój stan dzisiejszy przywodzi nam na pamięć ową chwilę, kiedy w podle krzyża Chrystusowego powieszono dwu winowajców. Jeden z nich, złorzecząc, ciągle się szarpał na krzyżu i ostatek sił zużywał, aby się od niego oderwać; drugi, cierpliwie znosząc karę, spozrzał z miłością na Chrystusa i prosił go o litość nad sobą. Piérwszy, został potępionym; drugi, cierpliwy, zbawienie pozyskał, i cały świat chrześcijański dotąd wspomina go ze czcią i zbudowaniem. Tak téż i w społeczeństwie Polskiem jedni gotują zbawienie przez cierpliwość, drudzy śmierć sobie i krajowi gotują, bluźniąc na krzyżu i szarpiąc własne ciało w bezsilnym odporze. Gdybyśmy byli przez całe stulecie niewoli naszej wyrabiali się w pokoju i cierpliwości do życia doskonalszego, to już niezawodnie cnoty nasze i cierpliwość nasza byłyby zwyciężyły złe, pod którym dzisiaj jęczymy, i wszystkie narody chórem (a szczególnież plemiona pobratymcze) byłyby za Chrystusem powtórzyły: „błogosławieni Polacy pokój czyniący między nami.“ Świat zbudowany byłby w nas uczcił męczeństwo, kiedy dzisiaj urąga się bezsilnym naszym zamachom; byłby nam przyznał przymioty wielkości duchowej, kiedy dzisiaj podziwia w nas tylko zwierzęcą odwagę. Zapewne, że ofiara krwi i majątków nie jest ani łatwą, ani bez wartości; lecz po narodzie Polskim żąda Bóg więcej, to jest: ofiary ducha, wyższej nad poświęcenie krwi i złota. Gdyby ta ofiara, którą składamy,

była dostateczną i miłą Bogu, toby już była dawno okupiła doczesne zbawienie narodu, bo któż więcej od nas téj krwi przelał, i któż szlachetniej od Polaków majątek dla kraju poświęcić umie? Ale właśnie, że ta ofiara mało nas kosztuje, i że krwią szafujemy jak wodą, a złotem jak rzeczonym zwirem, dla tego ją Pan Bóg za mniejszą cenę na wykup od nas przyjmuje. Bogaty tysiące składać musi należnego haraczu tam, gdzie ubogi groszem się okupuje; dla tego i od Polaków (bogaty w wyższą łaskę Bożą) dopomina się Bóg także wyższej ofiary. Naród nasz nosi w duszy, tak z przeszłości i pierwiastkowego zarodu jako i z przyrodzonych i nadprzyrodzonych przymiotów, najbliższy zarys królestwa Bożego i nie ma może na całej kuli ziemskiej ludu, któryby bliżej i jaśniej ducha praw Bożych pojmował, a któremuby łatwiej przyszło wprowadzić w życie doskonałość ustaw chrześcijańskich. Ale właśnie dla tego, iż naród ma poczucie rzeczy wyższych i królestwa Chrystusowego, a od niego na przekor się oddała, dla tego: męką, pracą i upokorzeniem, dociska go Bóg, dopóki nie spełni w czynie rzeczy ducha swego, i nie odpowie łasce i czystym natchnieniom, które z nieba odbiera.

My idąc za krewkością naszą ciągle gotowaliśmy się i gotujemy do walki, a ciągle Chrystus zdaje się przemawiać do nas jak do Piotra: „iż kto wojuje mieczem, od miecza zginie.“ Ciągłe siejemy krew naszą, a zbieramy łzy, żałobę i plon coraz sroższej niewoli. Coraz słabsi, a coraz więcej zuchwali, chcemy przemódz Pana Boga, i zamiary jego wedle myśli naszych skierować. Nie umiemy ani żyć w zgodzie i pracować w pokoju, ani dać go drugim, ani sobie go zapewnić, lecz w oczekiwaniu wojny nic pożytecznego dla ojczyzny naszej nie czyniąc, jesteśmy

jakby w obcym kraju i pod namiotami rozłożeni, nadśluchujemy tylko głosu pobudki, któraby nas znów do śmierci a nie do życia prowadziła. W istocie, taka gotowość do poświęcenia się za myśl wielką, bo za myśl wolności ojczyzny, ma urok niezaprzeczony, który błędy nawet same w świetną odziewa szatę; ale skoro nam nie tylko o czyn waleczny i piękny ale więcej jeszcze o dobro ojczyzny i o jój pożytek chodzić powinno, przeto nie samą odwagą się popisywać, ale rządzić się nam statkiem i rozsądkiem należy.

Naród i narodowość nie w sile fizycznej i nie w orężu źródło biorą, ani téż mieczem nikt narodowości nie stworzył, i onęj nie przemazał; narodowość ma źródło w religii, mowie ojczystej, ustawach towarzyskich i obyczaju, a należy raczej do porządku moralnego. Strzedz jój przeto należy w świątyni ducha własnego, w świątyni rodziny, w kole towarzyskiem, a co najwięcej w kościele, również jak i w szkołach i w literaturze; tak zaś strzeżony skarb narodowości bezpiecznym będzie od nieprzyjaznych wpływów i napaści. Do téj pracy ważnej, koniecznej i świętej, nie potrzebujemy wojny, ani mieczem onęj nie przeprowadzimy, ale owszem: na koniecznybyśmy ją szwank narazili, kładąc na szalę wątpliwego zwycięstwa ostatnie swobody, które nam ku rozwijaniu narodowości posługują. W pokoju rośnie i rozwija się to wielkie duchowe i plemienne drzewo narodowości, wrasta w swoją posadę, piętzy coraz wyżej ku niebu, nabiera siły, i kiedyś staje w całej wspaniałości, a nawet groźnej na zewnątrz postaci.

Ileż to sił, poświęceń, krwi, czasu i majątków zmarnowała Polska na bezowocne wysiłki w nierównej i niemożliwej walce? ileż zmitrężyła chwil na oczekiwaniu zawodnych wypadków? Gdyby przez ten długi przeciąg

czasu wewnątrznie się była kształciła, to z pewnością nie byłaby zewnątrz szukała tego, co w sobie samą byłaby znalazła.

Z założonemi rękami, z zaniedbaniem najbliższych obowiązków, nudząc sobą, próżnując i poziwając, patrzyliśmy to na wschód, to na zachód, azaliż kto za nas sprawy naszej nie dokona. W stanie ciągłej drażliwości, gorączki i niecierpliwości, przeżyliśmy dni nasze, bez pożytku dla kraju, bez korzyści dla nas, bez przyrobku dla pokoleń, bez czci dla przeszłości. Bo w rzeczy samej, zatarliśmy podania z przeszłości, nie przygotowaliśmy nic na przyszłość i biedziemy się w terażniejszości.

W następnych rozdziałach ośmielę się podać niektóre myśli co do środków zaradczych, i wytłumaczę: jakie jest dzisiaj stanowisko Polski rozbrojonej, a teraz tém zakończę: iż ani siła Polski, ani jój posłannictwo, ani jój zbawienie nie spoczywa już w mieczu i zemście. Powtóre, iż myśl zachodnia, która Polskę ciągle do nowych prób i wysień powołuje, jest dla niej zabójczą, przeciwną jój narodowości, jój przeznaczeniu i jój szczęściu. W końcu starać się będę podać niektóre pomysły, oparte na duchu praw ewangelicznych, które dotąd może uszły baczności wielkiej liczby moich czytelników, a które tém mniej w życie wprowadzone u nas były. Zaczne jednak od przekonania współrodaków o moralnej i fizycznej niemożności wystąpienia dziś z orężem w rękę, i to będzie przedmiotem rozdziału następnego.

O stanie dzisiejszym naszego kraju pod względem usposobień rewolucyjnych.

Stronnicy ruchu, pokładający swe nadzieje w wewnętrznej rewolucyi lub wojnie, obliczają zawsze na miliony *lud*, który ma im posłużyć do wywalczenia politycznej kraju niepodległości; tym zaś ideałem upojeni ludzą siebie, zwodzą drugich i próżno grożą światu. Zdaje się im, że wszyscy w Polsce są przygotowani iść za ich wezwaniem, i że każdy wypowie od razu posłuszeństwo istniejącej władzy, porzuci rodzinę, dom, i poświęci zdrowie a życie dla niepodległości, obiecanej manifestem ludzi nieznanymi ani z urzędu, ani z imienia, ani z czynów. Błąd ten (za nadto często powtarzany) objawiał się w różnych pismach, odezwach i mowach, powołujących Polskę do nowych a nieobliczonych ofiar, abyśmy nie czuli obowiązku przekonać czytelników naszych, iż Polska nie jest dzisiaj ani w usposobieniu moralnym, ani w fizycznej możności wystąpienia do walki, i że powoływanie się na *lud* jest albo skutkiem grubej nieznajomości stosunków krajowych, lub też rozmyślnym fałszem, użytym ku wciągnięciu i skuszeniu łatwowiernej części społeczeństwa do nowój a szkodliwej zawieruchy.

Mówię: iż *Polska nie jest w usposobieniu moralnym*, bo patrzę na Polskę całą a nie na pojedyncze (tu i ówdzie rozsiane) indywidua. Nie nazywam też *ludem Polskim* téj tylko ruchliwej części społeczeństwa, która buhucnięciem brzęczy po ulicach, ale tą nazwą obejmuję *wszystkich ludzi naród składających*, poczynając od możniejszych rodzin Polskich aż do najuboższego wyrobnika, w mieście lub na wsi zamieszkałego.

Czyniąc zatem sumienny przegląd dzisiejszych usposobień narodu, dostrzeżemy: iż mała tylko częśćka społeczeństwa życzyłoby sobie mogła zmian politycznych na drodze rewolucyjnej lub wojny, a ta jeszcze dla braku powagi i wziętości, a co więcej, w skutku straconego w całym narodzie kredytu, żadnegoby ogólnego ruchu za sobą pociągnąć nie zdołała. Dawniej, póki była jakaś w narodzie hierarchia, czyli to na świetności rodu i zasług, czy na zamożności albo urzędzie, czyli też w końcu na powadze wieku oparta, i póki było względne dla starszeństwa i zwiérzchności poszanowanie, dopóty całe społeczeństwo stanowiło od góry aż na dół pewien łańcuch złożony z ogniw mniejszych lub większych, ale wzajemnie od siebie zawisłych i społeczną jedność stanowiących. Wtenczas w kilku ludziach środkowało się zaufanie powszechne, i duch się z góry na dół rozplýwał przez pośrednictwo szlachty, biorącój ruch od głównego kieratu, a rozdającój go w trybowym porządku mniejszym kółkom narodowego mechanizmu. Wtenczas, mówimy, powoływali do czynu starsi, mędrsi i zasłużeńsi w narodzie (mężowie znani i poważani w ojczyźnie), a na ich głos rozruszana szlachta, obwijając się w koło (jakby litym pasem) towarzyszami, ochotnikami i dzielną pomocą przychylnych wieśniaków, wydobywała niemal z pod ziemi owe zastępy rycérzy, którzy ku potrzebie ojczyzny zawczasu pałasz na pługu ostrzyli.

Dzisiaj cały ten porządek został rozwiązany i z gruntu przewróconym; albowiem między zamożniejszą szlachtą a uboższą, i między tą ostatnią a ludem wiejskim, otworzyła się przepaść wzajemnej nieufności, podejrzliwości a nawet i niechęci. Obok tego nadrosła świeżo w narodzie jakaś warstwa *luźnych obywateli*,

którzy wprawdzie nie mają dotąd wyraźnego przeznaczenia, ale którzy bardziej i głośniej od wszystkich przemawiają i nie piastując ani władzy, ani urzędu, innym przewodzić pragną, a węzeł najważniejszych zadań politycznych stanowczo przecinać kuszą się. Ci ludzie, którzy nie wyszli z żadnej przeszłości, a nie zajdą też (drogami przez nich obranemi) do żadnej przyszłości, są w dzisiejszém położeniu wielką przeszkodą do jakiegokolwiek towarzyskiej organizacji. Stanowią oni element przeczący w narodzie, i suszą pień polskiego życia, i zardroszczą drugim wzrostu, chociaż sami w rodzajną dla ojczyzny gałąź nie wyrastają. Walczą z przywilejami a onych w duszy pragną, przyznają się do ludu a przecież ani pracy ani ciężarów ludu podzielać nie chcą; a tak gniewając się na bogatszych i pochlebiając uboższym, stają w pośrodku obudwu; nie, aby ich pojednać i zbliżyć, ale iżby rozdzielić i żyć kosztem tego nieszczęśliwego rozbratu.

W takim położeniu rzeczy któżby dzisiaj w Polsce miał ochotę i odwagę początkować ruch wojenny? i któżby nawet znalazł się moralnie usposobionym stawić czoło nie tylko zewnętrznym trudnościom, ale co więcej, wewnętrznym przeszkodom?

Bogatsza szlachta, owa nieliczna już reszta naszych magnatów, nie odważy się na ten krok rozpaczliwy, bo nie ma żadnego punktu oparcia w narodzie, i nie wyrasta już z jednolitego ciała rycerskiego, którego niegdyś była ozdobą i wieńcem. Sama się ona od pnia swego odrywać zaczęła, aż ją potem do reszty zawieruchy polityczne z wierchołka strąciły. Dzisiaj piętrzy ona gdzieś gdzie jak mogiła na równinie, która przypomina dawne życie, ale sama nie ma życia i dać go innym nie może.

A wreszcie pomiędzy tyłą imionami, które nam dzieje nasze tak szacownie przekazały, ileż zrobiło się już dezercyj do obcych obozów!! Ileż się to rodzin znakomitych wynarodowiło? Te zaś, które wiernie przy ojczystym sztandarze stoją i sławę rodu życiem poświęconém i cnotliwém usprawiedliwiają, gdzież dzisiaj zaczerpną siły ku przeprowadzeniu szlachetnych dla kraju zamiarów? któż im poda rękę? Szlachcic nie chce; albowiem zrażony odstępstwem niektórych, składa winę na wszystkich, i zaufania im swego odmawia. A nadto szlachta średnia rada się z tego chełpi, iż z pod władzy panów wyszła, i z nimi się równać może. Z drugiej zaś strony; chociażby się i zbliżyć chciała, to w grzesznej na opinią *luźnych obywateli* oględności razem z nimi potępia wszelką wyższość, a to w nadziei, iż na możnych wspólne winy złożywszy, siebie od skutków politycznej burzy zabezpieczy. Kilka więc świetnych jeszcze u nas rodzin, chociaż nową nadzieją dla kraju w synach pełnych cnót zabłysło, dzisiaj już nie ześrodkować i żadnej siły utworzyć nie mogą, ale jako dziedzice nieprzychylnych wspomnień wykluczone są z ogólnego działania, lub jako ofiary uprzedzeń, zazdrości i skrzywionych w polityce wyobrażeń stoją na boku, omijane przez społeczeństwo, które ich potępia, bo ich nie poznało, i nigdy się do nich sercem nie zbliżyło.

Średnia szlachta przechowała w istocie najwięcej rycerskiej butności, wszakże podzielona w myślach i na szerokiej przestrzeni rozproszona żadnego niema węzła, a z masą ludu nie łącząc się już ani wiarą, ani celem politycznym, ani interesem materyalnym, żadnej téż nie ma siły. Są to ziarnka prochu na marmurowej posadzce rozsiane, w których skład wewnętrzny chociaż siarka i sa-

letra wchodzi, to przecież dla braku skupienia ani ciężaru dźwignąć, ani do celu trafić, ani pokładu, na którym się opiera, zapalić nie może.

Szlachta, mówimy, acz w kraju stanowi główny zapas Polskich rycérzy, to przecież nie stanowi już *rycérstwa*, bo pod tą zbiorową nazwą rozumimy ciało mające spójność organiczną i solidarne obowiązki. Tymczasem szlachta przestała być w narodzie *stanem* czyli *ciałem*, ale za cały przymiot posiada tylko pewną *gatunkowość*, która ją różni od innych warstw społeczeństwa, ale nie daje jój siły wywierania na nie przeważnego wpływu. I dla tego, wpatrzywszy się w stanowisko dzisiejsze szlachty, dostrzeżemy, iż ona stoi sama i wewnątrz podzielona w pośrodku dwu żywiołów, nie mogących złąć się z nią w jedność narodową. Stoi, mówimy, między możnymi panami, którzy przekroczywszy w wielu wyobrażeniach ścisłe granice Polskiej narodowości są już niemal *europczykami* albo *kosmopolitami*, a z drugiej strony pomiędzy ludem wieśniaczym, którego pojęcia o ojczyźnie nie przechodzą granic dziedzicznej zagrody lub (co najwięcej) wioski rodzinnej. Ztądto szlachta ściśnięta z góry i z dołu przez dwie siły utrudniające jój ruch polityczny, ani wzwyż rosnać, ani w głębsz korzenie się i rozwijać nie może. Dodać tu potrzeba, iż stojąc w rozwodzie z możnymi panami, straciła również naturalne do wyższych władz pośrednictwo, i pozbawiona przeważnej u rządów reprezentacyi, skargi nawet skutecznej podnieść nie jest w stanie. Otóż pomimo rycérskiego ducha i gotowości do poświęceń, i usposobienia do ruchów odważnych i rozpaczliwych, wyrzec się szlachta na teraz musi przedsięwziąć, któreby jój ostateczny cios śmierci zadały. Wreszcie odbyła ona w tych latach taką szkołę doświadczenia, iż lekkomyślnie

do dawnych złudzeń nie powróci. Widzieliśmy, jak szukając w sprawie narodowej czynnego sojusznika, zbliżyła się w chwilach rozpaczy do społeczeństwa *luźnych obywateli*. Był to krok największego z jej strony poświęcenia; albowiem wyrzekła się niemal siebie samą, swą przeszłości i przyszłości oraz familijnych wspomnień; słowem wszystkiego, coby jej mogło w narodzie pierwszeństwo zapewniać, a szukała tylko powszechną swobody i ogólnego dobra, które jej obiecywano. Ale jakże nieszczęśliwy zawód rozczarował jej nadzieje! Nowy sojusznik rewolucyjny zniżył ją, zbezczeszczył i pomiotł w kałużę, a później zubożoną, osieroconą i bezsilną na pastwę rządowej zemsty i chciwości dzikiego tłumu zostawił. Lecz gdyby i te ofiary dla narodowej poniosła myśli, gdyby kosztem własnego upadku chociaż część Polskiego ludu moralnie i materyalnie z przepaści dźwignęła, toby jej żal nie było majątków, życia i praw utraconych. Ale inaczej się stało, lud ofiarę jej ze wzgardą odepchnął, a sam niżej o kilka kroków zstąpił w niechęci dla Polski, w zazdrości posiadania i w dzikim łup i krwi pragnieniu. Lud się nie podniósł ale upadł tak, jak upada młodzież leśna pod zwaliskami starego dębu. Szlachta więc dzisiaj poznała zdrajcę w wolnomyślnym swoim sojuszniku i drugi raz ręki mu nie poda, ani się pozwoli wplątać w dogodną jego celom zawieruchę.

O nielicznym stanie mieszczańskim mało co mamy do powiedzenia; albowiem on zawsze ze szlachtą dzielił jedne losy i moralne usposobienia: wpadał we wspólne błędy, niósł równe poświęcenie, i razem z nią, dawszy się w ostatnich latach uwieść rewolucyjnym teoryom, przyplącił tę łatwowierność więzieniem, ubóstwem i utratą reszty swobód. Dodać tu wszakże powinniśmy, iż warstwa

napływowa cudzoziemskich przekupniów (która coraz więcej miasta Polskie zamula), utrudniwszy o wiele rewolucyjne poruszenia, stanowić będzie nadal wstrętny żywioł, który nie tak łatwo dałby się zwyciężyć.

Pozostaje nam w końcu do zbadania usposobienie ludu wiejskiego, *owego ludu*, mówimy, do którego się zawsze odwoływało stronnictwo ruchu, i na jego poświęcenia liczyło, a który przecież pokazał się tyle nieprzychylnym wszelkiej myśli rewolucyjnej, mającej na celu Polską narodowość i powrót do dawniej kraju niepodległości. Zanim jednak tę kwestyą rozberzemy, zastanówić nam się wypada nad naturą wieśniaków Polskich, i nad ich moralnymi pojęciami o ojczyźnie i o władzy.

Część ludu Polskiego najliczniejsza, rolnicza, prosta, pracowita i uboga, a od wszelkich źródeł wykształcenia się umysłowego oddalona, rządziła się od najdawniejszych czasów *wiarą i przeczuciem*, a wedle prawideł objawionego i przyrodzonego prawa urzędzała sumienie, i tworzyła u siebie sąd o wszelkich stosunkach i wypadkach.

Wieśniak Polski nie rozumował ale wierzył; nie rządził i nie rządził ale słucał i wypełniał dane mu z góry rozkazy. Jako dziecko wiary, a nie wychowanek szkół i doktryn, nie wyrobił w sobie zdolności rozbiorowej a tém mniej negacyjnej, lecz umacniał się w poczuciu obowiązków i w posłuszeństwie dla władz istniejących. Łatwo sobie więc wytłumaczyć, dla czego umiał on od tylu wieków znosić uciążliwe położenie z cierpliwością, jakiej przykłady w życiu tylko świętych napotykamy.

Trzy główne cnoty płynące z wiary stanowiły posadę moralnych ludu usposobień, a temi były: *prostota, pokora i postuszeństwo*; lecz te właśnie dla braku stosownego rozwinięcia wyrodziły się później w trzy wady:

prostactwa czyli *twardości uczucia*, *upodlenia* i *niewolnictwa*, wprost przeciwne charakterowi szlachty Polskiej, grzecznej *nadużyciem prawa*, *zamiłowaniem nieograniczonej wolności* i *zuchwalstwem w obec wszelkiej władzy*. Tak więc między szlachtą a ludem wiejskim była nieskończona różnica co do pojęć i duchowych usposobień. Szlachta skrzywiła w sobie wiarę, a lud jej nie rozwinął. Szlachta jej nadużyła, a lud jej nie zastosował. Gdyby lud Polski w miarę wypełnianych obowiązków był zyskiwał stopniowo i na prawach, to wchodząc powoli w szerokie narodowe obywatelstwo, byłby wykształcił się do rozsądnej wolności, a razem byłby i przymioty *pokory a postuszeństwa z godnością* chrześcianinowi właściwą uharmonizował. Ale duchowieństwo Polskie i szlachta zaniedbali ten względem ludu obowiązek i zostawili wieśniaka w jego znikczemnieniu moralném i niewolnictwie polityczném. Książa nasi czy to z lenistwa i braku żarliwości, czy téż z braku potrzebnej nauki, mniej się zajmowali duchowém ludu wiejskiego wykształceniem, a szlachta ze swój strony, monopolizując na własną korzyść ogólne prawo cywilnej i politycznej wolności, pragnęła raczej w wieśniakach Polskich widzieć własnych poddanych jak kraju obywateli. I ztąd, trzymając w ręku władzę niemal monarchiczną (w ciasnym obrębie posiadłości swoich zamkniętą), nie dozwoliła, aby się w ludzie wiejskim rozwinęło szersze poczucie narodowego obywatelstwa. Z tego téż względu wieśniak Polski był tylko mieszkańcem kraju, *poddanym swego pana*, ale nie był Polakiem obywatelem i synem ojczyzny, równe w niej prawo do dziedzictwa swobód mającym.

Zgodziwszy się więc na to, iż lud nasz pod wpływem biernych tylko przymiotów wychowany do samo-

dzielnego uznania szerszych obowiązków i praw nieprzyszedł, zrozumimy wstąpił do wszelkiego czynnego uczestnictwa w rzeczy publicznej, i wytłumaczymy sobie dla czego ani sam ruch nie początkował, ani się dobrowolnie do wywołanego przez szlachtę nie przyłączał.

Ruch wszelki rewolucyjny dla ludu Polskiego, wychowanego pod wpływem *pokory i postuszeństwa*, był *negacją* czyli grzechem przeciwko istniejącemu porządkowi. Gdy zaś szlachta grzech ten względem siebie popełniany karciała, więc też nie mógł go lud usprawiedliwić w szlachcie buntującej się przeciwko wyższej władzy. Z wiary i z przeczucia wiedział lud wiejski, że za nieposłuszeństwem prawu Bożemu i władzy ziemskiej idzie wcześniej lub później kara, a ztąd wołał cierpieć mniejsze zło jak się buntować, i wołał też znosić uciążliwą władzę jak się targnąć na jej zburzenie. Nigdzie może zasada władzy nie była więcej ugruntowaną jak wśród ludu naszego, i dla tego on przy niej tak mocno obstawał. Nie chodziło mu zaś o naturę władzy najwyższej, ani o jej kształt i pochodzenie, ale raczej upierał się przy jej istnieniu i powadze. O ile bowiem władza szlachty stawała się dla niego uciążliwszą, o tyle potrzebował znaleźć w rządzie krajowym opiekę zabezpieczającą go od nadużyć bezpośredniej zwierzchności. Ztąd też lud Polski nie oceniając kwestyi władzy z punktu ogólnych potrzeb kraju, a tém mniej honoru narodowego i uczuć patriotycznych, odnosił ją po prostu do najbliższych mu stosunków życia społecznego, i domagał się tylko po niej wymiaru sprawiedliwości w częstych zatargach między nim a bezpośrednią jego zwierzchnością wynikłych. Widzimy też jak dalece dla ludu wiejskiego było obojętném, czyli najwyższą władzę złożyła Opatrzność w rękę Polaka lub

cudzoziemca, i jak po dziśdzień nie ma wyobrażenia o korzyściach, jakieby z niepodległości kraju na niego spływały. Owszem myśli, iż rząd obcy, żadnymi stosunkami z szlachtą niezwiązany, sprawiedliwszym będzie rozjemcą między nim a panem, aniżeli rząd Polski czyli narodowy z łona téjże szlachty wychodzący. Tradycyjne wspomnienia mało mu téż utęskniać za rządem Polskim każą, a raczej nasuwają pamięci przysłowie tak dobrze bezkarność dawnych panów malujące: *Czyja sprawa? pana wójta; kto ją sądzi? pan wójt.* Z tych więc powodów wszelki bunt panów przeciwko wyższej władzy albo *urzędowi* kładli wieśniacy na karb utajonych szlachty zamiarów ku odzyskaniu nad ludem sobie poddanym samowolnego i nieograniczonego panowania, i każdemu takiemu buntowi wprost przeciwnymi byli.

Jak dalece zaś lud wiejski nie liczył się do narodu, ale od władzy ciągnął swoje pochodzenie, jasny mamy dowód, iż na zapytanie zkądby był, nie odpowiadał wieśniak, że z Polski albo z Galicyi, ale „z pod Cesarza i z pod pana N., lub téż z pod Prusaka, ze wsi tego lub owego dziedzica.“ Coż on więc przez *Polskę* dobijającą się swój niepodległości rozumiał? Oto nic więcéj, jak tylko szlachecką opozycją przeciwko istniejącéj władzy; a pod nazwą *Polaka* pojmował szlachcica zazdroścącego téjże władzy.

W takim stanie rzeczy propaganda rewolucyjna, szé-rzona w imie narodowości albo téż w imie buntu przeciw najwyższej władzy, żadnego u ludu znaleźć nie mogła współczucia. Jak odrzucił lud przed trzema wiekami bunt wywołany przeciw kościołowi (w protestantyzmie, który zarażał szlachtę), tak téż odrzucił również myśl buntu przeciw istniejącym władzom; w piérwszym bowiem

jak i w drugim razie widział lud *negacyą* przeciwną duchowemu swojemu usposobieniu, wiekowej swój tradycyi i nawyknieniom do posłuszeństwa i uszanowania zwierzchności.

Propaganda liberalna w ostatnich latach nie rozumiała tego usposobienia ludu wiejskiego, i wmawiała w niego uczucia, których on nie miał, a sumieniowi jego zadawała gwałt, który się później przeciwko niej samą obrócił. Niszcząc w ludzkie uczucie posłuszeństwa dla najwyższej władzy krajowej, podkopywała zasadę własnego nad nim zwierzchnictwa, i wpadła w dół, który dla kogo innego gotowała. Smutne zaś owoce tego błędu do dzisiaj oplakujemy, i nigdy onych dosyć Polska nie odżałuje. Oprócz tego grzeszyli reformatorowie polityczni fałszem i śmiesznością pod względem używanych ku propagandzie środków, które też utwierdzały lud w mniemaniu, iż go szlachta chce oszukać. Ze szczytu pychy, samowolności a często i oburzających nadużyć (które się szlachta ludowi narażała), skoczyła raptem w drugą ostateczność, pochlebstwa i kłamliwego się z ludem pobratania, które ani z prawdą, ani z powagą piastowanego przez szlachtę starszeństwa zgodzić się nie mogło. Szlachta i luźni obywatele sądzili, że trafnie rolę swoją odgrywają durząc lud równością; ale wieśniak, który rzeczywistą posiada prostotę, dziwnie musiał być zrażony fałszem tej parody, wymyślonej ku pozyskaniu jego współdziałania w sprawie tak ważnej jak jest wywrócenie rządu, i poświęcenie pokoju, zdrowia i życia.

Odrzącił więc lud propagandę przychodzącą mu od Polskiej szlachty, albo od natrętnych apostołów (których za zdrajców swoich uważał), a tém mocniej przywiązał się do wyższej władzy, w której widział siłę, i od której spodziewał się pewniejszych korzyści i osobistego zabez-

pieczenia. Poźniejsze wypadki aż nadto nadzieje i mniemania jego usprawiedliwiły; i nigdy też lud Polski mniej nie był usposobionym do popiérania sprawy narodowości Polskiej jak w téj epoce, w której wszelkie korzyści materialne a razem i natchnienie polityczne od wyższej a obcej nam władzy odbierał.

Zład to powoływanie się stronnictwa ruchu na patryotyzm ludu wiejskiego, i na jego dla myśli narodowej poświęcenie, jest albo największém złudzeniem albo występniém podszczuwaniem zniechęconego gminu na zagładę reszty Polskiego żywołu.

Zarzuci mi kto może, iż krzywdzę lud Polski odmawiając mu patryotyzmu i dobrej woli poświęcenia się dla sprawy narodowej, a przytoczy: iż się ten lud już wiele razy za niepodległość kraju poświęcał i heroicznie za tę sprawę ginął. W rzeczy saméj, że téj odwagi a pogardy śmierci odmówić mu nie można, lecz zwrócić uwagę należy, iż wtenczas się on poświęcał i ginął, gdy był do czynu legalnie wezwanym przez władzę rzeczywistą, istniejącą i mającą w ręku siłę i moc wykonawczą. Poświęcał się w szeregach Polskich, gdy mu rozkaz przyszedł z góry a nie z dołu, w porządku a nie z rewolucyjnego nieporządku. Poświęca się też dzisiaj, walczy mężnie i ginie pod sztandarami Rosyjskimi, Austryackimi i Pruskimi, a strzela do braci swoich i do ojców z rozkazu władzy, która dla niego więcéj ma uroku jak wszelka myśl narodowa, choćby najpiękniej i najprzystępniej mu wystawiona. Nie krzywdzę więc ludu naszego mówiąc o nim prawdę, ale ani siebie ani drugich ludzi nie chcę utopią ludowego patryotyzmu, która już tyłu w błąd wprowadziła. Patrząc bezstronnie i trzeźwo na moralne ludu usposobienie, i powtarzam, iż go dzisiaj nikt do buntu i

walki przeciw istniejącym władzom nie poruszy, a to tém bardziej, iż kilka powstań (które z większą lub mniejszą wczesnością szlachta wywołała), w smutném swém rozwiązaniu przyniosły narodowi coraz srozsze kajdany a ludowi większy jeszcze ucisk.

Dowodłem więc, o ile mi się zdaje, iż ani bogatsi panowie, ani średnia szlachta, a tém mniej lud wiejski nie są w usposobieniu moralném do podźwignienia miecza i próbowania bezowocnych na dzisiaj rewolucyj; teraz w krótkości dowiodę, iż naród nie jest téż w fizycznej możności stawienia oporu zewnętrznym trudnościom. Każdy wie, iż do prowadzenia wojny nie tylko potrzeba dobrej woli i odwagi, ale i siły fizycznej, oraz środków materialnych, bez których wszelki opór jest niepodobnym. Potrzeba rąk do oręża, koni i broni, zapasów amunicyi, zasobów pieniężnych, miejsca do swobodnej organizacyi, ułatwień komunikacyjnych i punktu oparcia. Tych wszystkich środków Polska jest dzisiaj pozbawiona, i stojąc bezbronna między bagnetem a cepem, zataić niemal w pierśiach musi resztę życia i rycérskiej odwagi.

To powszechnie Polski rozbrojenie i fizyczna jój niemoc wiadome są stronnikom ruchów rewolucyjnych, i zapierać oni przed sobą nie mogą rzetelnego niepodobieństwa wystąpienia do walki z potężnymi Polski zapaśnikami. Dla czegoż więc wywołują naszą męczennicę do nowych i bezowocnych wysiłków? Oto dla tego zapewne, iż sobie zawsze idealizują kwestyą narodową i nigdy szlachetnych uczuć na grunt praktycznego zastosowania nie sprowadzają. Z drugiej strony większa część ludzi rewolucyjnych, oprócz gorącego ducha, nie posiada gruntownej znajomości stosunków krajowych, a tém mniej nauki wojennéj i sztuki rządzenia. Zdaje się im, że zapał

wszystko zastąpi, i że dość jest zacząć ruch, aby się już z niego skuteczna wojna rozwinęła. Ten zaś błąd tém się tłumaczy, iż (prawie zawsze) wstępna zaczepka się udaje, i rewolucya nawet bezsilna, przeważne i uporządkowane wojsko zwycięża. Jestto karzeł, który, z nie-nacka przebudziwszy śpiącego olbrzyma, przestrasza go w pierwszej chwili, a czasem do ucieczki zmusza; lecz ten, wkrótce poznawszy przeciwnika, wraca ku niemu i jednym zamachem o ziemię powala. Stronnicy zaś ruchu, nie czyniąc żadnego rozróżnienia między rewolucją a wojną, liczą sobie już na karb wygraną dokonaną pomyślnie rewolucją; tymczasem jest ona dopiero wyzwem ale nie jest jeszcze początkiem walki. Do rewolucyi nie potrzeba zasobów, bez których wojna obejść się nie może; i dla tego pięść twarda, głos donośny, oko zaiskrzone, zastępują broń i inne środki. Nieporządek rewolucyjny czyli anarchia, rozprzegając i łamiąc tryby rządowej organizacji, spędzają chwilowo władzę z jej stanowiska, utrudniają jej działanie, ale jej zastąpić nie umieją i nie mogą. Dla tego widzieliśmy, że ci, którzy początkowali rewolucją, nigdy z pierwszego zwycięstwa korzystać nie potrafili, i stanowiska swego w dalszym rozwinięciu się narodowej walki nie utrzymali.

Jako więc w dobijaniu się o niepodległość narodową czyn rewolucyi poprzedza wojnę, tak z drugiej strony myśl przygotowania wojny powinna poprzedzać rewolucją, to jest: iż wtenczas dopiero można burzyć, kiedy się ma z czego, czém i kim stawiać. Tęj prostej logiki ludzie ruchu nie rozumieją; ale bez obliczenia środków, bez obrachowania własnych sił i zdolności, bez przewidzenia następstw zaczynają sprawę, której już nazajutrz nie mają czém popierać, i tak upadając pod ciężarem

trudności pociągają za sobą naród w przepaść sroższej niewoli, a czasem i w przepaść wstydu i pohańbienia.

Dodać tu wreszcie musimy, iż ludzie ruchu często zapominają w jakich żyją czasach, i zdawałoby się, że przeniesieni myślą w dawne wieki marzą o zwycięztwach w walce najazdowej lub zaściankowych potyczkach. Nie równa broń kosy przeciw armacie wcale ich nie zraża; ogień rotowy ich nie parzy; kule nie dosięgają; sztuka wojskowa (mająca swoje prawidła) ich nie obchodzi; magazynów nie potrzebują; bez skarbu się obejdują; porządna administracya wewnętrzna jest im zbyteczną; hierarchia sprzeciwia się ich pojęciom; słowem, na te wszystkie warunki mają jedną odpowiedź: *tylko zacząć, a jakoś będzie*. Otóż zaczęliśmy, a przecież nie było i nie będzie, dopóki sami sił wewnętrznych nie przyrobimy. Przyrobić się zaś nie da, jeżeli, narażając kraj na bezowocne burze, niszczyć w nim będziemy wszelki zasób sił fizycznych i materialnego dobra, a stawiać na kartę rewolucyjną jego przeszłość, terażniejszość i przyszłość.

O patryotyzmie budującym.

Dowiódłszy naszym czytelnikom, iż Polska nie jest dzisiaj ani w moralném ani fizyczném usposobieniu wywalczenia siłą miecza swój niepodległości, nie chciałbym wcale, aby rozumiano, iż stręcę stan gnuśnego niewolnictwa, jako jedyny ratunek i jedyny środek zbawienia czy indywidualnego czy zbiorowego. Nie daj Boże! aby taka myśl grzeczna i podła opanowała serce Polaka, którego życie powinno być ciąglem poświęceniem się i tru-

dem. Kiedy więc radzę, aby schować miecz do pochwy a nawet rzucić go z dala od siebie, to przez to nie mówię, aby przyjąć dobrowolnie kajdany, ale raczej, aby je umieć znosić do czasu z zasługą i ze zbudowaniem tém bardziej, iż onych ani rozerwać nie można, ani złorzeczyć wśród niewoli nie godzi się chrześcianom. W bezbronności naszej większa jest może siła aniżeli się komu zdaje, a w rozsądnej cierpliwości zakład niechybnego zwycięstwa.

Wśród pokoju, na drodze zgodnej z prawami, jakie nam są nałożone, możemy wiele czynić dla dobra ojczyzny, zbierając okruchy smutnych jej rozwalin i składając je nazad w porządną całość. Nie z mieczem więc dzisiaj i nie z młotem, który kruszy, ale z kielnią, która buduje, przy zrębie narodowym stając, układajmy warstwę po warstwie coraz większych przed Bogiem i przed ludźmi zasług. Gdyby zasługa była w burzeniu, toby Bóg tę pracę był ludziom zalecił, i do godności cnót ją podniósł; kiedy przeciwnie, w naszym nawet języku *budowanie* czyli *zbudowanie* pomiędzy cnoty religijne się liczy, a burzenie i rozdział, zgorwienie czyli psucie do szeregu występków należy.

Żadne wyobrażenie w tym wieku nie zostało tyle zwichniętém jak wyobrażenie o patryotyzmie. Bo cóż oznacza właściwie patryotyzm? Oto miłość kraju i ludzi tenże kraj zamieszkujących; miłość pamiątek z przeszłości, gorące pragnienie przysporzenia ogólnego szczęścia w terażniejszości, oraz żarliwa chęć zbudowania błogiej przyszłości dla następnych pokoleń. Słowem, patryotyzm jesto owa szeroka miłość obejmująca wszystkich i wszystko w narodzie. Że zaś miłość buduje a nie burzy, łączy a nie rozdziela, używnia a nie pustoszy, przeto uczucia

dzielącego społeczeństwo, wywracającego ład i wywołującego nowe a nieobliczone na kraj nieszczęścia i przesładowania, patryotyzmem nazwać nie możemy. Wszakże łatwo nam jest pojąć, iż miłość namiętna myli się czasem w środkach, i dla tego uwiedziona niewczesną żarliwością staje się szkodliwą wtenczas nawet, gdy się sądzi być najwyżej użyteczną; ztądto pragniemy wytłumaczyć i uniewinnić wewnętrzne zamiary nierozważnych w kraju zapaleńców, którzy teorią burzenia gorętszém uczuciem poświęcenia się dla ojczyzny nazywają. Ludziom burzliwym niezaprzeczmy przeto miłości, ale potępimy w nich kierunek, jaki dają poświęceniu swemu, i oskarżymy ich, że znaczenia patryotyzmu nie rozumieją. O! gdyby ludzie gorętszego uczucia chociaż raz w uspokojeniu się wewnętrzném pomyśleć chcieli nad niezliczonymi obowiązkami dla ojczyzny, gdyby okiem przenikliwém ale pogodném wejrzeni w ten ogrom prac szczegółowych, które w miłości dla kraju odrabiać potrzeba, gdyby smętnie ale troskliwie przypatrzyli się owęj wielkiej pustce kraju naszego, na której tylko sterczą groby, zwaliska i rozburzone dawniej chwały pomniki: to zapewne zwróciłiby swój patryotyzm ku jedynęj myśli budowania, i każdy wedle sił, możności i zakresu (jaki mu Bóg oznaczył), jałby się obowiązkowo żarliwie i niezmordowanie pracy tyle korzystnej ile zaszczytnej. Nie łudźmy się zaś pochlebny o sobie samych sądem, i wyznajmy, że w duchu rozbici na tysiące szczegółowych zdań i opinij, a obok tego siłą podzieleni, zubożali, bezsilni i chylący się coraz więcej ku rozpacz, przedstawiamy obraz narodu, który Opatrzność karą nawidziła, i od którego się pokuty i poprawy a nie zuchwalstwa domaga. Kościół nasz w niewoli z jednéj strony, a w opuszczeniu przez nas z drugieję,

wychowanie domowe i szkolne zwichnięte, nauki zaniedbane, rolnictwo upadłe, przemysł nierozwinięty, praca nieułatwiona, duch stowarzyszenia prawie nieznaną, czynność nie obudzona, drogi nie przebyte, rzeki do spławu nie oczyszczone, lasy wycięte, własność nie uregulowana i obdłużona; oto są mniej więcej plagi nasze, i w obec nich płynący obowiązek uskutecznienia ulepszeń, do których nie wojny ale pokoju potrzeba; łatwo bowiem przyznać, iż rycerstwem tych spraw nie załatwimy.

W dalszym ciągu tego dziełka starać się będę szczegółowo najważniejszych dotknąć zadań, tyjących się wewnętrznych w kraju niedostatków, a teraz wrócę się jeszcze do kwestyi patryotyzmu budującego.

Mało kto dzisiaj wie i czuje, że do wszelkiego budowania potrzeba najprzód położyć *jeden* kamień, to jest: kamień węgielny, a dalsze budowanie uskutecznia się dopiero przez zastosowanie do niego innych, wedle zarysu, a razem według miary i wagi sprawiedliwej. Tym kamieniem węgielnym w społeczeństwie jest najprzód *człowiek*. Nie *ludzie*, nie *ludskość*, ale *człowiek* mówimy; a ztąd też każdy, który chce w społeczeństwie budować, sam siebie najprzód zbudować powinien, i nie może zaczynać od *ludu*, od *ludzi*, od *ludkości*, ale sam się najprzód w tę ścianę gmachu narodowego ustawić musi wedle miary a wagi wyższego zarysu praw Bożych. Błąd i nieszczęście tego wieku najwięcej leży w tém, że wszyscy są *reformatorami* a nikt nie jest *reformującym się*; czyli wszyscy poprawiają, a nikt się nie poprawia. Po *człowieku* czyli *indywiduum* idzie dopiero rodzina; po rodzinie *dom* czyli *domownictwo*; potem idzie *parafia* czyli (jak dzisiaj chcą nazwać) *gmina*; później dopiero *okolica* czyli część kraju, a potem *kraj cały* czyli naród ple-

mienny w kraju przez Opatrzność mu wydzielonym osiadły. W końcu idzie *państwo* (jak to dziś nazywają) czyli kilka narodów pod jednym rządem stojących. Widzimy tedy, iż zanim się przyjdzie aż do reformy państwa (do której każdy dziś zdaje się mieć prawo i zdolności), to należy piérwój przejść kolejno szczeble wielu reform, poczynając je od wyrobienia pojedynczego człowieka, a później rodziny, gminy, aż do narodu.

Weźmy wszakże piérwszego z brzegu reformatora ludzkości, i zapytajmy się, czy przechodził te wszystkie szczeble, zanim stanął na szczycie nauczyciela ludu i ludów? zapytajmy się, czy własną reformę ukończył? a najpród: czy ma wiarę? a tém samém czy wie, jakie ma obowiązki względem Boga i względem bliźnich? Niestety! po większej części ci panowie ani dziesięciorga Bożego przykazania, ani prostego katechizmu nie umieją. Jakże więc sądzić potrafią o obowiązkach społeczeństwa względem Boga i względem reszty ludzkości, jeżeli sami nie wiedzą, iż Bogu duszę są winni, a prawu Bożemu posłuszeństwo, a bliźnim miłość i posługę?

Teraz zobaczymy ich wśród rodziny, zapytajmy: jak oni uważają sakrament małżeństwa? Żony poświadczyłyby chętnie (gdyby śmiały i mogły), że są niepospolitými despotami, tymczasem nikt więcéj od nich o usamowolnieniu kobiet nie rozprawia, i nikt więcéj prawa rozwodów nie popiéra, a nikt téż więcéj od nich dla rozpusty nie ma pobłażania. Przypatrzmy się im w kole domownictwa, i zapytajmy się służących, czyli do nich prawa równości (tak głośno wywoływane) stosują? Odpowie każdy służący w pół nagi i głodny: „że bogdaj to służyć u pana z panów!“ Teraz przypatrzmy im się w parafii, i zapytajmy o przykład, jaki dają ludowi? o sto-

sunki, w jakich znajdują się z proboszczem, o przyzwoitość, z jaką zachowują się w kościele? lecz pocoż się pytać o kościół? wszakże tam nie bywają!

Teraz przejdźmy do obowiązków obywatelskich i zbadajmy rodzaj owego poświęcenia, którym tak się przechwalają! Gdzież są owe fundusze, które złożyli na pożyteczne lub dobroczynne w kraju zakłady? gdzie owe stowarzyszenia w celach naukowych, rolniczych lub przemysłowych? gdzie owa troskliwość o gmachy starożytne historyczne, jakimi są kościoły, ratusze i inne pomniki narodowe? gdzież jest owa troskliwość o postęp w naukach, o przechowanie i wykształcenie literatury ojczystej? o podniesienie sztuk pięknych, o wydoskonalenie rzemiosł? W końcu zaś ani nie pytajmy się o rzecz najważniejszą, to jest: o wspieranie i utrzymywanie zakładów duchownych, jako to: seminaryów, szpitalów, zakonów i tam dalej! Tym zakładom nie tylko panowie reformatory nicby przysporzyć nie chcieli, aleby niemal szarą siostrze wyzebranego grosza zazdrościli.

Po takim przeglądzie niechże sumiennie wyznają reformatory społeczeństwa: czy mają prawo rządzić w narodzie i czyli nie potrzebują zacząć reformy od samych siebie, i czy najwyższym dowodem ich patriotyzmu nie będzie przede wszystkiém *własna poprawa*? Jak bowiem pierwój materyał musi być obciosanym anizeli w ścianę jest ułożonym, tak téż pierwój muszą się pojedynczy ludzie i rodziny poprawić, zanim się o reformie całego narodu pomyśli.

Gdyby ci ludzie ruchliwi i działalni byli zaczęli poprawę od siebie samych, i zamiast trawić tyle czasu i energii na swarliwej krytyce drugich byli wydali wojnę własnym niedoskonałościom, to jużby byli samym przy-

kładem wielką poprawę w społeczeństwie uskuteczнили. Gdyby się pokazali na drodze miłości tyle żarliwymi ile są na drodze nienawiści, zazdrości i pychy, toby już byli w połowie Polskę zbudowali. Gdyby byli zajęli się wychowaniem i wykształceniem tylu młodzieży, ilu zgorszyli, rozzuchwalili, zbuntowali i do próżniactwa skłonili, toby już nowe pokolenie górowało jako wyższa warstwa narodowego gmachu, i ojczyzna z pociechą przyglądałaby się tej nowej warstwie, obiecującej przyszłą chwałę i świetność narodu. Lecz niestety! ślepi wodzowie młodego pokolenia w imię patryotyzmu nad tém tylko pracowali, aby wyrwać z serc ostatki wiary, moralności i przyzwoitości, a zasiać na tym bujnym gruncie nasiona pychy, zuchwalstwa i lenistwa; i do tego téż doprowadzili, że jedna część nieszczęśliwej młodzieży zginęła na rusztowaniu, druga gnije w więzieniach, trzecia zmiera głodem poza granicami kraju, czwarta brzęczy próżnym fałszem po ulicach miast, a reszta, licząc zawsze na obiecywane ruchy i reformę świata, niczém się nie zajmuje, do niczego ręki nie przykładą, ale trawi wiek i zdrowie w rozpuście a życie w znudzeniu, a może i w rozpacz.

Otoż to są skutki patryotyzmu burzącego, owoce nowej szkoły polityków humanitarnych, którzy o ludzkości myślą, a o człowieku najbliższym, to jest o samych sobie zapominają.

Człowiek samego siebie kochać powinien nie tą miłością egoistyczną, która wszystko odnosi do siebie, ale tą miłością chrześcijańską, która budować dla siebie nakazuje zbawienie wieczne i szacunek u współobywateli. Kto więc duszę swoją kocha, ten o nią dbać powinien, to jest wykształcać się, uświęcać, i cnotą oraz zasługą wzbogacać. I nie uwierzę, aby ten kochał ojczyznę, kto

własną duszę zatracą, i aby mógł budować społeczeństwo wtenczas, kiedy sam jest w moralnym i politycznym rozburzeniu. Cóż nam przyjdzie z tej zasy śniegowej teoryj humanitarnych, którą zawierzucha w rozdoły zmiała?! Promień słońca zaświeci, a góra śniegowa w błoto się zamienia. Cóż nam dobrego przyniosły nauki z zachodu, które wysmażył w zaklętym tyglu jakiś filozof, lub profesor bez katedry, kiedy onych zastosowanie ani jest możebnym, ani dla ludzkości zbawiennym? Istna zadymka, taniec jesienny zgniłych liści, w którym prócz ruchu wirowego ani kierunku ani pożytku nikt się nie dopatrzy.

Wyteżył się wzrok reformatorów na mnogie nadużycia z przeszłości i w nich znaleźli powód potępienia wszystkiego, co było i co jest. Chcieli jąć się stworzenia nowego świata wedle świeżego zarysu i wedle myśli własnej; ale zapomnieli, że nie mówią do ludzi, których dopiero stworzyć mają, ale do tych, którzy już stworzeni, i którzy noszą w sercu całą przeszłość i wszystkie nawiązania z przeszłości. Trudno więc aby ten, który chce może poprawy i ulepszeń, ale broni się od zagłady, stał się odrazu powolnym narzędziem w ręku ludzi, którzy go zawsze obaleniem całego porządku towarzyskiego straszą, i w jego miejsce próbę własnych utopij stręczą.

Wreszcie ludzkość nawykła była od początku wierzyć, iż światem całym rządzi wyższe prawo, którego ustawy ludzkie są tylko lub powinny być rozwinięciem. Ludzkość, czyto z wiary, czyli z przeczucia, przyzwyczaiła się odnosić do własnego sumienia, prawem nadprzyrodzonym oświeconego, wszelki stosunek towarzyski mniejszego lub większego zakresu; kto więc wbrew temu uczuciu idzie, a gwałt przekonaniu zadaje, rozwiązując święte skrupuły powszechnego sumienia, ten bierze cie-

żar wszystkich światów na swoje barki i siłą odporną zostanie skruszonym lub daleko wyrzuconym.

W sumieniu powszechném dwa są główne wstępy: *zabójstwo i rozpój*. Biada temu, któryby chciał ten wstęp osłabić; bo chociażby na chwilę namiętność wzięła górę nad ustawą moralną, to wkrótce głos wewnętrzny odezwie się w duszy, wznieci świętą obawę i pomstą nierozważnego kusiciela ścigać będzie. Nie wygrał więc ten, komu się udało podburzyć, ale dopiero stawiał na kartę własne sumienie i życie. Może wygrać jedną i drugą stawkę, lecz Bóg i ludzkość wkrótce zawoła *banco!* a wtenczas biada temu, który w grę namiętność wprowadził.

W narodzie taki jest porządek jak i w wiejskiem gospodarstwie. Rolą można poprawić, ulepszyć, ale nie można gatunku jój zmienić. Bieg wody można zużytecznieć, ograniczyć, ująć w koryto, ale nie można przymusić, iżby z dołu do góry płynęła. Na wierzbach próżno jest spodziewać się owoców, ani przemienić gatunku drzew rodzajnych, lecz one tylko ulepszyć i uzacnić można; trawie i zbożu nikt wzrostu przed czasem nie przyczyni. Słowem, w gospodarstwie wiejskiem ten jest najmędrszym gospodarzem, który wedle gatunku gleby i położenia swojej wioski i w miarę towarzyszących okoliczności plan rolniczy stosuje. Ten mówimy: który do najwyższej produkcji własność swoją doprowadza, a to przez doskonałą uprawę, siów, roztropne budownictwo, dobry zarząd i pilne a staranne korzystanie z bogactw miejscowych. Gdyby zaś ten gospodarz ciągle grunt orał a nigdy go nie siał, i budynki wywracał a nigdy nie budował, i zawsze coś urządzał i przemieniał a nigdy nic stanowczo nie urządził, to niezawodnie i samby się zrujnował, i wieśby rozburzył, i miałby w korzyści głód i wstyd. A przeto

zamiast ciągłego burzenia tak w narodzie gospodarować należy, iżby stosując się do położenia kraju, do jego wiary religijnej, obyczajów i historii, rzecz własną doskonalić i rozwijać, a na tym gruncie ciągle budować, siać, ulepszać, uzacniać i upiększać, i téj pracy poświęcać życie całe, siły, zdolności, młodość i starość swoją, to jest: zapał i doświadczenie.

O! jest w czém pracować, i jest z czego i co stawiać w téj naszej kochanej Polsce, która chociaż straszy i smuci rozwalinami, to przecież pociesza bogactwem materyałów. Jest gdzie siać, i byłoby co zbierać, gdyby wszyscy jeli się porządnej roboty, a rzekli sobie razem: *Kiedy nam odjęte królestwo ziemskie, budujmy w naszej ojczyźnie królestwo Chrystusowe; królestwo zgody, miłości i pokoju, królestwo wiary i zasługi; słowem: królestwo wybranych, bo cierpiących wraz z Chrystusem i szukających w nim i przez niego zbawienia.*

O patriotyzmie księży.

Przystępując do praktycznej kwestyi szczegółowych obowiązków ze strony rozmaitych stanów, naród składających, zdaje nam się być rzeczą słuszną zacząć od duchowieństwa, które z godności, jaką je Bóg przyodziął, pierwsze zajmować powinno miejsce w narodowym obywatelstwie. Chociaż bowiem kapłani służą przede wszystkim Bogu, to jednak służą mu pośrednio przez ludzi, nad którymi piecza duchowa jest im powierzona; służą téż i narodowi wedle szczególnego powołania, jakie im Bóg w kraju naznaczył. A więc jeżeli jako wysłannicy

Boga i zastępcy Chrystusa Pana na ziemi górują nad społeczeństwem, to z drugiej strony, wychodząc z łona narodu, są porównani ze wszystkimi innymi obywatelami w prawach i obowiązkach towarzyskich.

Z tego podwójnego charakteru podwójny także dla duchownych wypływa obowiązek: jeden względem Boga przez ludzi, drugi względem ludzi według Boga; czyli jeden kapłański a drugi obywatelski (pojęty w duchu praw chrześcijańskich).

Nad wszystkimi atoli celami i obowiązkami kapłanów góruje szczególniej powołanie budowania i zaprowadzania w całym świecie królestwa Bożego, w którymby prawa Chrystusowe zastosowane i rozwinięte w myśli, słowie i czynie ludzkim pozyskały wyłączne nad światem panowanie, i stały się podstawą i zasadą wszelkich praw i ustaw, a niemniej wszelkiego stosunku i urzędzenia między ziemią a niebem, i między ludźmi wspólny cel zbawienia mającymi.

Ten obowiązek i ta jedyna myśl budowania królestwa Bożego wśród ludzi i przez ludzi powinnyby zajmować wyłącznie kapłanów i zapełniać całe ich życie, a zwracać ku temu celowi wszelką ich działalność. Królestwo bowiem Chrystusowe nieśmiertelne i powszechne pochłania w sobie wszystkie pomniejsze królestwa ziemskie, które są tylko jakby chwilki życia ludów w tém morzu wieczności, i jako epizody ogólnego przemarszu ludzi z ziemskiej do wiecznej ojczyzny. Ztąd téż wszystkie zadania, tyczące się formy i cząstkowych przeobrażeń doczesnego urzędzenia społeczeństw, muszą być koniecznie dla kapłanów kwestyą podrzędną, i o tyle tylko obchodzić ich mogąca, o ile te urzędzenia dopomagają lub stawiają przeszkodę główniej myśli budowania królestwa Bożego.

Księża znają doskonale ostateczne zadanie ludzkości, i wiedzą, że jak się każda obietnica Chrystusowa spełniła, tak też spełnić się musi najwyższy cel zgromadzenia wszystkich ludzi w jedną owczarnią, nad którą będzie jeden pasterz, i która się urządzi wedle jednego prawa Bożego, zaprowadzającego harmonią czyli zgodę różnic wedle tonu miłości i prawdy. Skoro zaś kapłani wiedzą, jaki jest cel ostateczny, przeto, postępując do ogółu przez szczegóły, podwójny znowu mają obowiązek; pierwszy: budować królestwo Boże powszechne (wedle wyższego zarysu), a drugi: starannie wyrabiać szczegóły, mające wchodzić w budowę powszechnego kościoła; i ztądto właśnie rozumimy względne powołanie kapłanów w pojedynczych narodach, i z tej zasady płynący patryotyzm księży, którzy posłannictwem i obywatelstwem z resztą społeczeństwa są związanymi.

Chociaż więc zbawienie wieczne ludzi głównem jest zadaniem duchowieństwa, to przecież słuszną jest rzeczą, iżby go sprawy ziemskie, a tém bardziej sprawy ojczyzny, z bliska i gorąco obchodziły. Chrystus Pan kochał także ojczyznę swoją ziemską, i płakał nad Jerozolimą, przewidując nieszczęścia, jakie spadną na to święte miasto. Ależ właśnie w tej miłości Chrystusa Pana dla ojczyzny kapłani jedyny i wyłączny wzór mają, tak dalece, że każde od tego wzoru zboczenie prowadzi ich w grzech, który Bóg potępia a społeczeństwo surowo sędzi. Miłości Chrystusa Pana do ojczyzny porównywać nie możemy ani z namietnością rewolucyjną, ani z bałwochwalstwem ziemi, w które czasem wpadają nasi kapłani wbrew posłannictwu swemu miłości i pokoju. Chrystus kochał swoją ojczyznę dla jej zbawienia, i nie budził w niej ducha buntu, ale raczej szerzył duch pojednania i prawdy. Jako król rze-

czywisty ludu Izraelskiego (z pokolenia Dawida) mógł się powołać na prawo rodu swojego, mógł lud Żydowski zachęcić do rokoszu przeciwko cesarzowi, a wreszcie mógł naukę swoją popierać siłą, gdyż niebo i ziemia byłyby mu dostarczyły hufców, a wszyscy ubodzy byliby stanęli pod jego sztandarem, walcząc z rządem, który się ludowi narzucił. A przecież Chrystus Pan nie użył żadnego z tych środków, ale szukał innego zwycięstwa i inną drogą ludzi podbijał królestwu Bożemu! Nauczał, uzdrowiał, przebaczał, odradzał i zastaniając nawet grzeszników przed rzeszą mściwych Żydów, kochał wszystkich, zbawiał wszystkich, a życie swoje za przyjaciół i nieprzyjaciół położył.

Jak zaś poselstwo z nieba ewangelii świętej było (wedle Pisma) „najprzód do Żydów a potem do pogan,“ tak też i księży w narodzie najpierwszy mają obowiązek względem współrodaków, wśród których Opatrzność ich postawiła, a później dopiero względem innych ludzi; to jest: że jeśli ksiądz narodowi swojemu wyłączności przyrzekać nie może, to jemu jednak pierwszeństwo dać winien, albowiem nie tylko bliższym mu jest jego własny naród przez naturalny stosunek tożsamości plemiennej i przez wspólność jednakowych doczesnych przeznaczeń, ale również i przez wspólność mowy, ułatwiającej rozprowadzenie słowa Bożego i szerzenie między ludźmi Chrystusowego królestwa.

W tym stosunku księży do ojczyzny kwestya dla nich jest nader jasna, bo wiedzą, że (pomimo, iż kościół jest powszechnym, a pojedyncze gromady ludzkości zleją się kiedyś w jedną owczarnią), to przecież tę ogólną ojczyznę ze szczegółowych narodowości budować muszą, i one wedle zarysu prawa Bożego kształtować. Lecz

gdzie jest trudniejsze zadanie, i na którym się nie jeden już z kapłanów zwicznął, to w stosunku zachodzącym między obowiązkami dla kraju a posłuszeństwem dla władzy duchownej i uległością dla władzy świeckiej. Tu właśnie jest cały skopuł w rozpoznaniu różnicy między prawami niezaprzeczonemi kościoła (o które się ksiądz upominać winien czyli to u rządu, czyli u narodu), i od których odstąpić nic nie może, a innemi prawami podrzędnemi, przechodniemi i zmiennemi, przy których upierać się nie ma potrzeby. I tak: jeżeli duchowieństwo dopomina się o wolność kościoła w przedmiotach czysto religijnych, to jest o wolność wewnętrznego urządzenia się, swobodnego dopełniania obowiązków kapłańskich w wychowaniu dusz i w nauczaniu prawa Bożego; jeżeli dopomina się o wolność zgromadzeń duchownych, w celu czysto religijnym założonych; jeśli żąda bezpośredniego znoszenia się z głową kościoła lub biskupami, to wtenczas jest zupełnie w swoim prawie i wymagania jego rychłej lub później przyznanemi mu będą. Gdyby jednak w miejsce téj wolności i tych praw dopominał się o swobody czysto świeckie, albo co gorzej jeszcze, mieszał się do stronnictw pokój i zgodę zakłcających, i tém samym ubliżając kapłaństwu nadużywał obywatelstwa narodowego, wtenczas rząd lub naród, korzystając z danego przez księży pozoru, nie tylko im wolności obywatelskie ukróci, ale się targnie i na swobody duchowne i ścięśni zbaWienną działalność duchowieństwa.

Zawsze to widzieliśmy, że ile razy księza wdawali się w uporną opozycyą przeciwko doczesnym rządóm, tyle razy władza świecka ośmieliła się zaprzeczać im rządów duchowych; i skoro tylko ksiądz jął się miecza, to mu w téj chwili rząd świecki nie tylko miecz ale i

trybularz z ręki wytrącił. I rzecz jest bardzo naturalna, iż gdy posłannictwo kapłanów jest czysto duchowe, a posłannictwo władzy świeckiej jest czysto ziemskie, przeto, ile razy duchowieństwo zejdzie na grunt ziemski, tyle razy jest słabsze od rządu, a ile razy rząd świecki nie na swoim polu z duchowieństwem walczy, tyle razy od niego jest słabszym.

Fałszywe pojęcie tego rozgraniczenia tak ze strony duchowieństwa jak ze strony władz świeckich jest może głównym powodem wszelkiego dzisiejszego nieporządku w społeczeństwie. Władze odmawiają kościołowi panowania nad duchem dla tego, iż się kapłani wdzierają w ich prawa nad ziemią. Królowie nie pozwalają budować księżom królestwa Bożego, albowiem kapłani nie zawsze wedle Boga wpływają na sprawy królestw doczesnych; i zdarza się aż nader często, że kapłani, pragnąc przede wszystkiém posiadać ziemię, zarówno duch jak i ziemię w coraz sroższą zależność i niewolą podają, a sami znizienia powagi swojej stają się powodem.

Bogu dzięki! iż zarzuty, jakie czynimy, nie tyczą się ogólnie całego duchowieństwa, i że jest owszem w kościele Bożym liczny hufiec świętobliwych kapłanów, którzy, idąc środkową a sprawiedliwą drogą, ciągle budują kościół powszechny i królestwo Boże, pomimo przeszkód stawianych przez rządy i ludy. Wszakże obok tego hufcu są na prawo i na lewo zbłąkane oddziały, jakby marodery wojska Chrystusowego, którzy zszedłszy z gościńca w niebezpieczne zapuścili się manowce.

Jedni ze zbłąkanych kapłanów, opierając się na tekście Pisma: „iż wszelka władza pochodzi od Boga,“ posuwają czasem za zbyt daleko rozwinięcie téj zasady, i poddając prawo Boże ustawom ludzkim a kapłańskie obowiązki na

świeckie przemieniając, powtarzają razem z wiarołomnymi Żydami: „Nie znamy innego króla, tylko cesarza.“

Prawda, iż wszelka władza pochodzi od Boga, ale też właśnie dla tego, że od Boga pochodzi, po Bożemu rządzić powinna; nie ma bowiem prawa bez obowiązku, a tém samém obowiązki władzy, płynące od Boga, także w duchu Bożym spełnionemi być powinny. Najpiérwsza, najstarsza i naturalna władza, jaką jest ojcowstwo, o tyle przecież jest prawną, o ile nic przeciwko ustawom Bożym nie nakazuje; przestaje zaś obowiązywać, gdy gwałci prawo Boże. Takaż sama zasada stosuje się do wszelkiej innej władzy.

Drudzy kapłani, owiani jakąś zewnętrzną zarazą, wpadają w przeciwną ostateczność, albowiem biorąc udział w świeckim buncie, radziby siebie i ludzkość z pod wszelkiej zwierzchności wyswobodzić. Zdaje się im, że Pan Bóg otworzył w tym wieku jakieś nowe źródło władzy we wszechwoli ludowej, a odwieczne prawa swoje złożywszy, przelał je na gmin. W taki więc szczególnie sposób urządzają sumienie, iż z tego, *co należy Bogu*, mało oddają, a z tego, *co należy się cesarzowi*, nicby oddać nie chcieli. To zaś całe zwichnięcie myśli okrywają patryotyzmem i usprawiedliwiają uczuciem religii jakiejś *humanitarnej, postępowej, religii narodowej, patryotycznej* i t. d.

W miarę jak ten błąd się szerzy, powaga duchowieństwa upada. Obywatelstwo świeckie bierze w duszy księdza szkodliwą przewagę nad kapłańskim jego powołaniem. Staje się może taki ksiądz *człowiekiem ludowym*, ale przestaje być *człowiekiem Bożym*. Obyczaj jego przybiéra wyraz goryczy, dzikości i pewnej rubasznosci, który aż nadto wykrywa wewnętrzny bunt i rozburzenie.

Namiętność polityczna zacięra w sercu myśl Bożą; zabiegi w kole stronnictwa odrywają go od ważnych stanu obowiązków; postępując zaś coraz dalej na tej drodze, przejdzie od buntu przeciwko władzy świeckiej do rokoszu przeciw władzy duchownej, i już stoi nad przepaścią! O! gdyby ksiądz taki widział lub uczuł wewnątrznie, ile on gorszy i razi swoim postępowaniem, i jaki obudza do siebie wstręt we wszystkich poczciwych ludziach, toby już przez sam szacunek i dla stanu swojego, i dla swęj godności, nigdy w ten błąd nie wpadał. Ksiądz arystokrata, lub demokrata, albo namiętny stronnik tego lub owego kształtu rządu; ksiądz z mieczem w rękę, albo we frygijskiej czapce: jest coś tak potwornego, iż sami nawet stronnictwa jego sojuszniki ani szacunku dla niego ani szczeręj przyjaźni mieć nie mogą. Każdy wie, iż kapłan katolicki, czerpiąc swoję naukę od jedynego mistrza Jezusa Chrystusa, tę tylko prawdę Bożą rozwijać ma obowiązek, i nie wolno mu się nawet nazywać ani od Jana ani od Pawła, ale tylko od samego Chrystusa. Jakże więc razi, gdy ten, który przeznaczonym jest do zwalczania pogaństwa, zowie się po pogańsku arystokratą lub demokratą, i zamiast służyć Panu Bogu i jego kościołowi, oddaje się w służbę patrycyuszom lub plebejuszom? Jako dziwnie razi, gdy ksiądz, który ma być odgłosem mowy Bożęj do ludzi, staje się echem wrzawy zbuntowanego gminu! Czuje się taki zawód i takie rozczarowanie, iż nie raz boleść serce ściska, a mimowolnie sąd za zbyt może surowy z ust się wymyka! Bo jakże tu nie boleć, kiedy się widzi ziemię jałową i uprawy potrzebującą, a *sól ziemi skażona*, bez pożytku z pyłem ziemskim zmieszana, coraz więcęj wietrzeje!

My u kapłanów dopominamy się o chleb Boży, o mannę duchową, głodni prosimy o pożywienie nas słowem Bożem, a oni nam dają pruchno obcych teoryj, które nam już niestrawność sprawiły i do których coraz większą czujemy odrazę. My w kapłanach naszych chcemy uszanować sędziów pokój czyniących, a oni nam występują jako rzecznicy stronnictw lub jako zbrojni szermierze. Jednemu tylko Kordeckiemu z księży Polskich, jako natchnionemu i szczególną łaską do obrony świętego miejsca powołanemu, rycerstwo przystało, tak, jak i jednej dziewicy Orleańskiej miecz do kobiécój dłoni się nadał. Lecz to są najrzadsze wyjątki, i takie szczególne posłannictwo Bóg potwierdza wyraźném objawieniem; w ogólnej atoli zasadzie Bóg w ręku kapłanów swoich nie chce wdzierać miecza, bo i ucznia swego Piotra z miecza rozbroił, i nie dopuszcza sprzeczności, iżby ci, którzy spełniają niekrwawą ofiarę, pobudzali do krwawego między ludźmi zapaśnictwa.

Otoż ten patryotyzm *waleczny, burzliwy i wyzywający*, dziwnie księżom nie przystoi, i jest tylko fałszywym umizgiem do pozyskania czczej popularności. Prawda, iż na chwilę okrzykuje lud na ulicy chwałę księdza demokracji, ale widzieliśmy na własne oczy taki smutny koniec téj chwały, iż nie tylko ludziom ale żadnemu stworzeniu na ziemi takiego końca nie życzymy!

O mój Boże! czyliż ksiądz, którego sam uczysz wszelakiej mądrości, i którego jako nauczyciela w swoje miejsce między narody posyłasz, potrzebuje uczyć się od studentów demokracji? czyliżby nie dał dowodu większego patryotyzmu, gdyby ich nauczył katechizmu? Czyliż ksiądz, który jest ojcem naszym, przewodnikiem naszym, i u którego nóg składamy się w pokucie, potrzebuje

innéj wziętości nad tę, którą mu święte jego powołanie nadaje? Gdyby był ministrem państwa, prezydentem republiki lub królem, mniéjby miał godności, jak kiedy jest Chrystusowym kapłanem!

Lecz nie będziemy się już rozwodzić nad tym smutnym przedmiotem. Podziękujmy raczéj Bogu, iż te zбочenia wyjątkowo tylko kościół Chrystusowy zasmucają. Jeśliśmy nawet o nich wspomnieli, to tylko z gorącej i serdecznej dla duchowieństwa życzliwości, sądząc, iż może który kapłan chwilowo obalamucony pomyśli, że musi taki duch nie być sprawiedliwym, gdy się już często i głośy świeckie katolików przeciwko niemu podnoszą. Zresztą upraszam duchowieństwo, aby te moje uwagi przyjęło z takim pobłażaniem, z jak wielkiém je podaję uszanowaniem i synowską miłością.

Jakież jest więc znamię księdza *patryoty*? Na to pytanie łatwa odpowiedź, iż ten ksiądz jest prawdziwym patryotą, który w narodzie swoim najgorliwiej dopełnia obowiązków swego stanu. Jakże zaś ważne i obszerne są obowiązki kapłana! Jakże to płodne i piękne pole, które on uprawia! Ziemię w raj przemienić, i świat nasz do nieba podwyższyć, oto powołanie księdza! Boga dać ludziom poznać, miłość Bożą w sercach rozniecić, i z człowieka zwierzęcia zrobić człowieka anioła, oto jest praca księdza. Grzech z ziemi ojczystej wytrzebić, a pole uprawne ziarnem prawdy Bożej obsiać, oto jest najbliższy obowiązek księdza.

Zbadawszy pilnie niedostatki duchowe naszego społeczeństwa, spostrzegamy powszechny brak nauki wiary; to jest katechizmu dogmatycznego, historycznego i moralnego. Klasa nawet oświećniejsza, z małemi bardzo wyjątkami, katechizmu nie umie; o Pismie Świętém bardzo

słabe ma wyobrażenie, a moralność chrześcijańską tłumaczy sobie wedle miary własnych pojęć, i wedle zewnętrznych wpływów i panującej opinii. Zład téż sumienia najdziwaczniej i najrozmaiciej są urządzone. To, co jeden ma za grzech, drugi poczytuje sobie za cnotę. To, co należy Bogu, człowiek oddaje ludziom lub nawet rzeczom; bałwochwalstwo niesformułowane w obrządek ale praktycznie rozwinięte grasuje wśród nas, a pogaństwo odradza się jak złe zielsko na polu aczuc nibyto chrześcijańskich. Nie tylko więc prawa Bożego nie wypełniamy, ale się go nawet nie uczymy. Żadnej kwestyi dobrze nie zgłębimy, i dla tego o rzeczy wiary a szczególnie téż o kościele Bożym mówimy jakby lutrzy, szyzmatycy lub niewierni. Rozumimy tylko kościół murowany z cegły lub z kamienia, ale o kościele żywym, zbudowanym z nas samych i tworzącym jedno ciało i jakoby jednego człowieka, z rządem głowy i z czuciem serca, o tym nie mamy wyobrażenia; dla tego ciągle szarpiemy w kawałki własne ciało, roztrącamy własną głowę i wygaszamy w nas samych ogień życia. Kapłan więc *patryota* największy da dowód miłości ojczyzny, gdy nas i dzieci nasze wyuczy katechizmu, to jest: da nam poznać Boga i jego prawa. W innych krajach katolickich wszyscy kapłani (i to prawie bez wyjątku) tak dalece się do téj powinności poczuwają, iż nie ma najuboższej wioski, ukrytej nawet w głębokich Pireneach, aby w niej pleban nie uсовестił corocznie wszystkich dzieci od lat 10 do 14 w nauce wiary, i nie przygotował ich do godnego odbycia sakramentu spowiedzi i przyjęcia ciała i krwi pańskiej. Każdy ksiądz uważa to za obowiązek sumienia, i za powinność względem Boga i społeczeństwa, i nic go w tym obowiązku ani osłabia ani odstręcza. Rodzice zaś

(choć czasem sami bezbożni) tak dla swych dzieci o tę naukę się upominają, iż z dalekiej chaty, o milę nawet odległej, dzieci swoje na katechizm prowadzą; dzień zaś odbytej pierwszej komunii, za najważniejszą epokę w życiu swych dzieci uważając, wiek dziecka od tego dnia liczą, i mówią np. „Ma lat 19, bo już jest ośm lat od pierwszej komunii.“ Na drugi rok też same dzieci mają sobie wyłożony obszerniejszy katechizm historyczny i moralny, nazwany *Katechizmem wytrwałości* (Catechisme de perséverence), który je utwierdza w wierze, i razem przygotowuje do powtórnej komunii i sakramentu bierzmowania. Że zaś te nauki odbywają się w kościele w wolnych chwilach od nabożeństwa, a nawet od pracy dzienniej, przeto i rodzice, będąc obecnymi w kościele, przypominają sobie główne zasady wiary i wspólną z dziećmi odnoszą korzyść. Możliwsze rodziny wspólnie z najuboższymi dzieci swe posyłają na nauki katechizmu, i tym sposobem tworzy się między nimi (jedynie możebne) w Bogu porównanie i braterstwo. Nasi szanowni kapłani zarzucają: „Iż to za granicą weszło w obyczaj ludu, i dla tego jest możebnym do uskutecznienia, ale u nas niktby dzieci nie posłał.“ Zapewne, iż pierwszego roku na sto dzieci byłoby pięć albo sześć. Lecz na drugi i następne przy zachęcie, emulacyi i korzyściach moralnych byłoby coraz więcej, aż w końcu weszłoby w obyczaj. Inni kapłani powiedzą, że to są wznowienia nie potrzebne, cudzoziemskie. Może być; ależ i demokracja jest wznowieniem, i z cudzych krajów jest przyniesioną, a jak się to prędko na kapłańskim nawet polu przyjęła! Przecież u nas w Polsce starszy katechizm od demokracji!...

Drugi dowód *patryotyzmu* daliby nam księża, oświecając nas w ciągu roku przez nauki praktyczne i przez

jasny wykład *Pisma Świętego*. Nauki, mówię, zastosowane do życia prywatnego i towarzyskiego, kazania dobre często słyszymy, i niechaj Bóg i za to duchowieństwu zapłaci, ale nauki proste z ducha Bożego powiedziane (a nie czytane) bardzoby nam się przydały, boby prostowały sumienia i sprawy nasze. Do tych nauk, zwanych w Rzymie *reformami*, dziwna łaska Boża jest przywiązana, bo dotykają codziennych obowiązków człowieka.

Misyje od czasu do czasu są także niepospolitą dźwignią moralności chrześcijańskiej. Zespoleją siłę kilku żarliwych kapłanów, i z nagłą potracając duszę wiernych, sumienia uśpione budzą. Odpust trwa za zbyt krótko, i jest często dla ludu Świętem kramarskiem i wesołą schadzka, kiedy tymczasem misya jest jak deszcz użyzniający pole sumień po długiej posuszy.

Skłonienie wiernych do częstszej spowiedzi nie byłoby mniejszym dowodem patriotyzmu księży. Prawda, iż to jest najnudniejszy dla kapłanów obowiązek, ale też najpożyteczniejszy dla wiernych środek poprawy. Jakoś w Polsce (w tym jednym tylko przepisie) trzymamy się głoski prawa, i czekamy na tę wielkanoc jakby na epokę powszechnej pralni sumień. Księża się też gotują na tę straszną pracę jak na wojenną wyprawę; bo nie mała jest rzecz wyprać brudy duszy z całego roku ubierane. Ale też właśnie, że tak praca trudna, to się zaledwo sumienia przepłuczą, i mało co są bielsze. Gdyby w ciągu roku na częstszy blich poszły, byłoby kapłanom lżej a wiernym zbawienniej. Wielu księży i wiernych słyszałem nazywających tę radę jezuicką. Jeśli w rzeczy samej Jezuitom ten obyczaj częstszej spowiedzi winniśmy, to chwala im, i warto się tego od nich nauczyć. Wszakże czytamy i

w katechizmie, że kościół nakazuje przystępować do spowiedzi: *przynajmniej* raz w rok, a nie: *tylko* raz w rok.

Byłby także naród duchownym nieskończenie obowiązany, gdyby gorliwie raczyli zająć się bractwami już istniejącymi, lub utworzeniem nowych, jakto np. ś. Wincentego a Paulo, śgo Franciszka de Regis, które bezpośrednio wpływają na pożytek duchowy społeczeństwa, a zespólają ludzi w celach dobroczynnych i miłosiernych. Modlitwa bractw jest dopiero jedną częścią obowiązków, kiedy drugą jest zastosowanie miłości chrześcijańskiej do stosunków społecznych. Taki był duch wszystkich instytucyj bractw chrześcijańskich, dopóki był w nich *Duch Boży*, i dopóki byli tacy, którzy mu nadawali kierunek, to jest: ojcowie duchowni. Dzisiaj, chociaż są bracia napisani na tablicy, to ich mało jest w kościele, a jeszcze mniej przy łożu chorego, przy barłogu nędzarza, i w pośrodku zwaśnionych ku ich pogodzeniu. Kasa bractw próżna, serca braci próżne, ręce w zastęgę próżne. A więc zamiast stowarzyszeń rewolucyjnych i klubów prosimy księży najpokorniej o nasze dawne a pocziwe bractwa, o ich ożywienie i o ich zużyteczniecie.

Duchowni katolicy, dzięki bezżeństwu, mają dużo więcej czasu i swobody niżeli ludzie świeccy troskami gospodarstwa i wychowaniem rodziny zajęci; dla tego łatwiej im jest uprawiać także rolę nauk i umiejętności również jak i literatury. Mimo zajęć, do stanu przywiązanych, są jeszcze chwile, któreby kapłani tej pożytecznej a przyjemnej pracy poświęcać mogli (tak, jakto ich zacięci poprzednicy w zeszłych wiekach czynili, a którym największą część bogactw naszej literatury winni jesteśmy).

Odpowiedzą może, *iż nie ma czasu na to*. O jest! bo poprzednicy więcej się modlili i więcej około zbawienia

dusz pracowali, a starczyło im chwil na pisanie ważnych dzieł czyto religijnych, czyli téż historycznych. Ale znowu zdaje mi się słyszę drugą wymówkę, iż *nie ma funduszów*. Ależ do pisania nie trzeba funduszów, jeno o-choty i pilności; gdy zaś będzie rzecz dobra, to wierni wydrukują.

O czém tu pisać? zapytają. O Bogu i o ludziach, o Stwórcy i o stworzeniu; o niebie i o ziemi; o kolébce i o grobie; o rzeczach przeszłych i przyszłych; słowem: o wszystkiém, co buduje, uświęca i podnosi z upadku społeczeństwo. Mowa ojczysta jest pod bezpośrednim dozorem i opieką duchowieństwa; bo coż jest właściwie *mowa*, jeżeli nie zewnętrzny objaw *słowa*? jestto forma, ciało, odzież *słowa*. Że zaś rozprowadanie słowa czyli nauczanie jest kapłanów obowiązkiem, przeto i wykształcenie *mowy*, czyli zewnętrznych *znaków ducha*, do księży należy.

W innych krajach duchowieństwo nie da się wyprzedzić świeckim ludziom w nauce; święte zaś krasomowstwo staje się niemal szkołą i wzorem dla literatów i mowców narodowych a razem pomnikiem każdowiecznego postępu mowy ojczystej. U nas téż tak bywało, dopóki księża dawali dobry kierunek pracom swoim i patriotycznym uczuciom.

Zarzucają mi jednak niektórzy *trudność wykształcenia się*. Prawda, iż zakony dziś są w rozburzeniu, a seminarya w upadku; ależ dobry uczeń douczy się i w domu, czego niedosłuchał w szkole. Są dawne wzory, a biblioteki, chociaż źle utrzymane, ale zawsze istnieją; można się więc przy pomocy Boskiej i pilności wykształcić.

Tłómaczenie ojców i doktorów kościoła byłoby ważną pracą, któraby życie kilkudziesiąt kapłanów zająć mo-

gła. Spisanie dokładne historyi naszego kościoła byłoby téż nader patriotyczną pracą. Wreszcie całej części archeologicznej kraju naszego mało kto dotknął, i winniśmy dopiero staraniu świeckiej młodzieży odkrycie ważnych historycznych pomników. O! pole jest piękne, grunt doskonały, a tylko chętnych pracowników mało.

Lecz kiedy tak natrętnie upominamy się u kapłanów o ich obowiązki, to téż słusznie jest spojrzeć wkoło nich, i ocenić przeszkody, jakie ich otaczając utrudniają spełnienie świętego powołania. Przyznać należy, iż gdyby kto żarzącą głównią albo pochodnią bryłami lodu obłożył, toby zagasnąć musiała; dla tego téż, kiedy spojrzymy na społeczeństwo, wśród którego księża pracują, to ani się dziwić można, że im ręce opadają, i że pod ciężarem pewnego ucisku tylko żyją, dla przechowania prawdy a nie dla jój rozwinięcia; tak jak drzewo wśród zimy, które nie rośnie ale wegetuje. Siał ciągle na skale i nigdy się plonu niedoczekać, to się i uprzykrzy i nader rzecz niewdzięczna. Siał na pole złém zielskiem zarosłem, smutném jest i niekorzystném. Ale siał pszenicę, a oset i pokrzywy zbierać, to do rozpacz i zniechęcenia przywodzi.

Ksiądz sieje przez godzinę dobre ziarno, a szatany różnego rodzaju sieją przez dwadzieścia trzy godzin kąkol. Ksiądz wyplewi złe dzisiaj, a jutro toż samo bujniej odrośnie; ksiądz ochrzci dziecko na katolika, w krótkce podrostek już przeczyć zaczyna; młodzieńcem żyje jak rozpustnik, starszym jak poganin, i zadąbieje na starość w grzechu tak, że często umiera ku potępieniu.

Ksiądz łączy sakramentem małżeństwa stadło, które sobie wieczną wiarę przed Bogiem ślubowało, tym czasem w krótkce wiarołomstwo, cudzołostwo, osłabia święte

ogniwa i ślubowi uwłacza, w wielu zaś razach nieprzykładny rozwód przecina węzeł, którego na ziemi żadna siła naruszać nie może i nie powinna.

Ksiądz w imię Boże odpuszcza grzechy, i uradowany pozyskaną dla Boga duszą, patrzy się z pociechą na pokutującego, jakby ogrodnik na szczep uzacniający dziką płonkę. W tém szczep się nie przyjął, a płonka znów kolczaste rozwija gałęzie.

Ksiądz spełnia ofiarę najświętszą w kościele, i obraca się do wiernych mówiąc: „Bóg z wami; módlcie się Bracia, wnieście serca ku Bogu!“ a tu prócz *ofiary, ofiarnika i postugacza* nikogo niema w świątyni pańskiej.

Ksiądz duchem Bożym natchniony, wiarą zagrzany, miłością bliźnich pobudzony, wydobędzie z pod duszy cały zasób prawdy, dotknie się gnijących ran społeczeństwa, aby je oczyścić, uzdrowić, a chorzy krzycheć poczynają: „On mnie uraża, on mi rany świeże rozdziéra!“ Ksiądz milczy, i nic nie mówiąc modli się za grzesznika, a ten woła: „Ksiądz o mnie niedba, ksiądz mógłby a niechce mnie uzdrowić!“ Kapłan wyrzuca grzechy publiczne narodu, radzi pokutę, stręczy poprawę, a rzesza bluźniąc woła: „On Polsce uwłacza, on wdaje się w politykę, on naród oczernia!“ Kapłan mówi o Bogu, o prawie jego, o potrzebie zbawienia się indywidualnego, a gmin mruczy: „Że ksiądz nie patryota, bo o Polsce nie mówi!“

O! trudne jest powołanie księdza w zepsutym i upadłym narodzie. Ciężki stan, i niełatwy do pogodzenia w okolicznościach, wśród których żyjemy. Kiedy się kto bezstronnie nad ogólném położeniem zastanowi, to się raczej podziwiać musi, że tak mało dają księża zgorzienia. Wreszcie z kądżeto są ci księża? czyliż ze słońca spadli? Oni wychodzą z łona naszego społeczeństwa, są ko-

ścią z kości naszych; a więc są jeszcze dla nas za dobrzy, bo my dużo gorsi od nich jesteśmy. Oni przynajmniej służą Bogu, a my komu?...

Często uskarża się społeczeństwo na niskie wykształcenie kapłanów; wyrzuca im twardość i rubasność form towarzyskich, i w tym ma poniekąd słuszność. Lecz pytamy się: kto temu winien? Dawniej, dopóki zamożniejsze rodziny dawały panu Bogu świętą w swych synach dziesięcinę, i dopóki miały sobie za szczęście, gdy jeden z rodziny poświęcał się stanowi kapłańskiemu; dopóki dzieci szlacheckie lub mieszczańskie, odebrawszy staranne w domu wychowanie, dostarczały społeczeństwu kapłanów, mających obok gorącości ducha łagodny i przyzwoity układ; dopóty mieliśmy dobór znamienitych duchownych. Dzisiaj ubogi nawet szlachcic woli oddać pięciu synów do wojska, lub zakopać ich w lichej dzierzawie, jak poświęcić służbie Bożej. Matki zanoszą się od płaczu, gdy syn ich oświadcza się z zamiarem zostania księdzem (bo najpełniejszy stan życia kapłańskiego ze śmiercią niemal równają.) Dla tego też, gdy *zaprošeni na gody wymawiają się*, a przecież chwała Boża uszczębkę cierpieć nie może, wysyła *pan* sługi swoje, aby sprosili kalęki i ubogie, a zapełnili dom pański biesiadnikami. Kto więc wyrzeka na zły dobór duchowieństwa, niechaj sposobi synów na księży lub sam się temu stanowi poświęci.

Z drugiej znowu strony wyznajemy, że w tak małym szacunku mamy kapłanów i tak ich lekko traktujemy, że oczywiście rażąc ich i odstręczając od siebie, z własnej winy w niższą warstwę społeczeństwa ich popychamy. Że zaś przysłowie niesie, iż: „Kto z kim przestaje, takim się sam staje,“ przeto nasi plebani i wikaryusze, oddaleni od wzo-

rów polerowniejszego układu, rdzewieją, dziczeją i nabywają tonu rubaszości od niższych warstw społeczeństwa.

Nic pospolitszego u nas jak narzekanie na duchowieństwo, i nic powszedniejszego jak stawianie przeszkód, aby nie było lepsze. Ktożto bowiem o to dba i o to się stara! Ktoż barków nadstawi, aby kapłana podnieść i poprzyć jego prawa a przysporzyć mu powagi? Każdy księdz radby z funduszów ogołocić, dochody kapitulne i zakonne oraz zakładowe uszczuplić, seminarya zubożyć, a nikt ani pomyśli o zakładach przygotowawczych, i o uposażeniu domów duchownych. Nikt też moralnie nawet księdz nie wesprze i miłością a uszanowaniem nie otoczy, tak, iż kapłani są dziś w naszym społeczeństwie jak kościenie z których ciało opadło.

Jeżeli więc szukamy źródeł upadku duchowieństwa, to szukajmy ich najprzód w nas samych, a pewno znajdziemy w naszej bezbożności główny powód złego. Oddziaływanie duchowieństwa na społeczeństwo, jak i nawzajem wpływ społeczeństwa na księży jest zupełnie równy, i gdybyśmy byli lepsi, toby i księża z łona naszego wychodzący byli dobrzy. Pakt więc federacyjny między duchowieństwem a społeczeństwem świeckim jest konieczny i zawiązanie solidarności niezbędne; do tego zaś nowego sojuszu co rychlej zmierzać powinniśmy tak, aby stan duchowny nie był po za społeczeństwem ale w społeczeństwie, i stanowił z narodem *jedno*, jako dusza i ciało w żywym człowieku jedno stanowią. Ktoż ma zaś piérwszy krok uczynić? bez wątpienia my świeccy; a na jakim gruncie, czy politycznym, czy religijnym? Śmiało radzę, aby na gruncie tylko czysto religijnym i duchowym; albowiem: *Szukajmy przede wszystkiem królestwa Bożego, a reszta w dodatku będzie nam przydana.*

O stosunkach obywateli z władzą.

Jakakolwiek jest władza i jakąbądź drogą przychodzi, zawsze uważana z punktu zasady ma źródło w Bogu i jest delegacją rządów Bożych. Władza zła i surowa zesłana jest jako kara na grzeczny naród, a władzę dobrą daje Bóg w nagrodę wiernemu ludowi. Pierwszą cierpliwie znosić jako pokutę a za drugą Opatrzności dziękować, obiedwie zaś szanować i obu słuchać należy (o ile nie przeciwnego prawu Bożemu nie nakazują). Ta zasada uszanowania i posłuszeństwa dla władzy nie ulega ani przedawnieniu, ani zmianie; jest ona konieczną, a dla szczęścia i pokoju świata niezbędną. Przykład tego poddania się władzy dał nam zbawiciel (Bóg-człowiek), gdy stawał przed Piłatem, a jemu nad sobą władzę z *góry daną* przyznał.

Tę zasadę za wzorem Pana i mistrza naszego potwierdzili wszyscy Chryścianie w pierwszych wiekach, będąc w sprawach doczesnych władzom pogańskim poddani, i służąc wiernie w szeregach prześladowców swoich ku obronie całości państwa. Odznaczali się też największą karnością, posłuszeństwem i odwagą, a sprawując wyższe urzędy, nigdy żadną zdradą ani podstępem charakteru chrześcijańskiego nie splamili. Duch zatem wiary naszej jest wyraźny w tym względzie, i nigdy Chrystus Pan ani słowem, ani czynem, do buntu przeciw władzy jakiegokolwiek nie upoważniał. Był poddanym matce swojej i przybranemu ojcu; był posłusznym ówczesnemu kościołowi i jego władzy duchownej; zniósł bez szemrania straszny wyrok wydany na siebie przez władzę świecką, a posłuszeństwo w najmniejszych nawet sprawach przekazał uczniom swoim i wiernym, dając Piotrowi rozkaz złożenia podatku do skarbu od niego i od siebie, pomimo, iż nie czuł się do niego zobowiązanym.

Lecz obok posłuszeństwa i uległości dla władzy należy się od Chrześcian *prawda*, czyli to szczére i sumienne postępowanie z rządem, które wszelki wzajemny stosunek ułatwia, czyni jasnym i usuwa wzajemną podejrzliwość i obawę.

Prawda, wszędzie, zawsze i we wszystkim, znamionować powinna Chrześcianina, a nie ma żadnego powodu, któryby od niej uwalniał. Nieszczérość władzy nie upoważnia nas do odwetu, bo my za władzę sprawy przed Bogiem zdawać nie będziemy, jeno za siebie. Prawda więc w duszy, w słowie i w czynie, oto jest broń Chrześcianina tak odporna jak i zaczepna; prawda połączona z godnością i szczérą uległością, oto jest droga, przez którą się dochodzi do zaufania, a z zaufania do wolności przyzwoitej, rozsądnej, i na czas możebnej.

Nie ma rządu, choćby najbardziej surowego i niechętnego, któregooby postępowanie podwładnych szczére, jawne i sumienne nie rozbroiło i ku łagodniejszym środkom nie zniewoliło. *Prawda i miłość*, sęto potęgi, którym nic oprzec się nie zdoła, a w człowieku szczéрым i kochającym jest taka siła, iż bezbronny może walkę stoczyć i zwyciężyć z nieprzyjacielem w miecz uzbrojonym. Sprawiedliwość Boża jest z natury swojej niecofniona i ostateczna, albowiem jest przymiotem najwyższego sędzięgo (od którego nie ma apelacyi), a przeciez człowiek miłością swoją wyrok sprawiedliwości Bożej nad sobą cofnąć lub złagodzić może. Coż więc dopiéro mówić o władzy ludzkiej, która w surowości samęj jest lękliwa i oględna, a nie mając ani wszechmocności ani nieomylności, szuka jęj w narodzie i szuka zdania i siły w dobrej radzie podwładnych? A więc pewno i niezawodnie: wszelka władza byłaby dobrą i sprawiedliwą,

gdyby ci, którzy ją otaczają, byli ludźmi prawdy i miłości; gdyby naród, zamiast kusić się na jej przewrócenie, pracował raczej nad urządzeniem jasnych i szczerých z nią stosunków.

Skarzymy się zwykle, iż władza działa wbrew naszym życzeniom; to prawda, ale téż to łatwo się tłumaczy; bo dzisiaj władza nie ma czasu rządzić nami, ale ciągle musi walczyć, ciągle ją trzymamy w odporném względem nas stanowisku. I aby rząd nas posiadał, podbijać nas musi, a sam czując się w obleżeniu wszystkie środki swobodnych ruchów nam odbiera. Ciężkito i okropny taki stan, w którym *pokój* okupuje się niewolą, i w którym naród i rząd, mając dwa sobie przeciwne cele, wtenczas tylko nie walczą z sobą, gdy się nie spotykają, lub gdy ich siła bagnetów rozgranicza.

Są zapewne położenia, w których sojusz jest trudnym lub niepodobnym; ale nie ma położenia, w którémby fałsz i zdrada względem władzy mogła być usprawiedliwioną. Nie ma celu żadnego na tym ani w przyszłym świecie, któregooby drogami fałszu dochodzić było wolno; i dla tego chociaż można z władzą jawnie i szczerze być przeciwnego zdania, to nie wolno jej zdradzać ani oszukiwać.

W tym wieku zupełnie zwichnięte są pod tym względem wyobrażenia, i zręczność w fałszu jest niemal podniesioną do godności patriotyzmu. Im kto w głębszej jaskini czarniejsze spiski knowa, tém większy ma być człowiek, i tém poświęćniejszy obywatel. Dawniej przyznawano w królestwie nawet zwierząt wyższość śmiałego lwa nad wężem; dzisiaj zaś między ludźmi więcej zdaje się mieć ceny podstępne działanie od jawnego, odważnego i poważnego wystąpienia. Ludzie już ani zgadzać się z sobą i kochać się wzajemnie, ani téż z sobą otwarcie

walczyć nie umieją, ale podstępnie doły kopiąc, paści zastawiając, nie w biały dzień w obec Boga i własnego sumienia, ale w ciemnej nocy na siebie polują, i dla tego najczęściej: „Ten, który dół wykopie, sam w niego wpada.“ Z powodu więc modnego *fałszu*, który stał się zasadą postępowania, podejrzliwość wzajemna do tego doszła stopnia, że już władza boi się prawdy słuchać, z obawy, aby i ona nie pokrywała jakiejś utajonej zdrady; i naród też dobrodziejstwa ze wstrętem przyjmuje, lękając się, azaliż w nich śmierci nie połknie. Gdyby stan taki istniał w małym nawet kole znajomych albo rodziny, toby był prawdziwym na ziemi piekłem, co dopiero, jeśli się to dzieje na wielki rozmiar całego społeczeństwa! Dokądże to zajdziemy? i na czémże się skończy ta podjazdowa herca? Trzeba koniecznie zerwać z zasadą *fałszu*, i zerwać z nią odważnie, mężnie, a powrócić do zasady chrześcijańskiej: *prawdy* i miłości, a przynajmniej początkowo do *sprawiedliwości*. *Fałsz*, to rzeczywiście jest jak *koło zakłęte*; im więcej człowiek się na tej drodze zapędza, tym więcej się błąka, a po zmordowaniu i utracie sił, zdrowia i pokoju, powraca z kąd wyszedł, i nic mu drogi nie przybyło. *Fałsz*, to jak łączna trzęsawica, w której im bardziej człowiek się ratuje, tym głębiej grzęźnie, aż w końcu cały się zatopi i ginie. Trzeba więc raz odszukać pewną drogę, stanąć na gruncie rzeczywistym, i z danego położenia największą korzyść na chwałę Bożą i dobro nawet doczesne narodu wyciągnąć.

Dotąd zawsze łudziliśmy się fantazją, iż władze, które nami rządzą, będąc nam obce, wcale nas nie obowiązują, i dla tego chcieliśmy żyć jakby w bezkrólewiu! Nie wchodzę w to, o ile rządy dogadzają naszym narodowym uczuciom, i nie wiem, jakie Opatrzność ma za-

miary, że im panowanie nad nami powierzyła; ale tylko zwracam uwagę na ten jeden punkt: iż władza *jest rzeczywiście*, i że musimy jęj być uległymi. Otoż: skoro *jest* i skoro nami rządzi, to musimy ją najprzód przyznać (bo jęj zaprzeczyć nie możemy), a przyznawszy, musimy jęj słuchać, i między nią a nami stosunek prawdziwy urządzić. Do dziś dnia cały nasz rozum polityczny opierał się na negacyi czyli *przeczeniu*, a środkiem użytym ku walce z rządem był sarkazm i drażnienie, a w innych razach podejście. Że zaś nie ma wyższej obrazy ducha nad szyderstwo, a również nic nie wywołuje większego oburzenia jak zdrada, przeto władza, która rzadko poważne i rozsądne żądania miała sobie przedłożone, ale zawsze pokątną opozycją drażniona, z boku szarpana, lub z dołu podkopywana, opędza się na wszystkie strony była zmuszoną, wyrobiła też w sobie systematyczną nieufność, i nie tylko granicy swobód w państwie nie rozszerzyła, ale ścieśniała nawet i te, które w innych okolicznościach jęj powadze i sile żadnegoby nie przyniosły uszczerbku. Bo zawsze oddziaływanie rządu ma się w stosunku prostym do wyzwu przez naród rzuconego, i o ile ten wyzew jest groźniejszym, o tyle sroższemi są środki poskramiające.

Władza przeciwko *oburzeniu* i opozycyi poważanęj nie ma siły ani broni, ale ją ma przeciwko *wzburzeniu*. W pierwszym razie naród staje w obronie pogwałconęj jakięjsz zasady, a w drugim władza (postawiona ku utrzymaniu ładu) staje w obronie praw swoich, i jeżeli zwycięży, to pobici sami, zrywając z ustawą obowiązującą, stają się jęj niewolnikami i tracą prawo do tych nawet swobód, których dawnięj używali! Cały więc rozum i roztropność narodu na tém zależy, aby tak szczerze po-

stępować z władzą i w takiej postawić się prawdzie, iżby żadnej swobody niezmarnować, a zyskiwać sobie prawo do otrzymania coraz większych i rezleglejszych wolności.

Wielu tę politykę potwierdza i dzieli, lecz chcieliby ten sam skutek osiągnąć drogą pochlébstwa, dworactwa i upodlenia, myśląc, iż rząd prędzej tém środkiem znie-wołą, podejną i zyskają jego zaufanie. Brzydkato droga i niewdzięczny środek; bo pochlébstwo jest *fałszem* tém nieznośniejszém, iż w niezgrabnej jego formie każdy się kłamstwa dopatry. Jestto zdrada przyprawna egoizmem i podłością; albo jestto wszeteczeństwo duchowe, z którego władza chwilowo korzysta, a potem zbezczeszczone na pastwę wzgardy publicznej pomiata. Na ramieniu pochlébców żadna władza długo się nie opiera i równie się ich obawia jak burzycieli, a nawet mniej ma dla nich szacunku. Otóż między pochlébstwem a zuchwalstwem jest droga pośrednia: poważnej i sumiennej uległości z zachowaniem szlachetnej niepodległości ducha i chrześcijańskiej godności. Jest droga, mówimy, która w rządzie nie obudza ani obawy ani podejrzenia, a pobudza do szacunku, ostrzega rząd a nie zastrasza, kontroluje a nie podgląda i nie przesądza; słowem jestto droga prawdy czyli prawości.

Władza pocziwa i wedle Boga rządząca czyni naród pocziwym i moralnym, ale też nawzajem naród moralny i ustaw Bożych przestrzegający wpływa na moralność władzy. O ile więc naród stanie się pocziwszym, o tyle władza będzie lepszą, gdyż ona jakby wierzchołek drzewa rośnie sokami pnia, z którego wyrasta.

Dziś władze i narody oczekują na siebie, wyzywając się do poprawy, a nikt pierwszego kroku uczynić nie chce. Zamiast się porozumić tracą one coraz więcej na ko-

niecznej wyrozumiałości i wzajemném dla siebie pobłażaniu, i rosną w nienawiści i nieufności, w oddaleniu i przeciwieństwie. Władza mówi do narodu: *Upokórz się, a złagodnieję!* Narody zaś odpowiadają władzy: *Daj nam wolność a pogodzimy się z tobą!* Lecz władza téj wolności dać nie chce, bo widzi wszędzie onę nadużycia, a wreszcie zuchwale się o nią narody dopominają, i ledwo rozwiązane rzucają się na władzę, a berło jój z rąk wytrącać kuszą się. Rządy téż coraz więcej krępują narody w ich swobodach, a ludy coraz groźniej potrzęsają kajdanami, i gryzą ze wściekłością uciskające ich wędzidło. Ktoż więc zacznie piérwszy krok ku zgodzie?...

Mnie się zdaje, i otwarcie téż życzę memu narodowi, aby on początkował sojusz szlachetny, poczciwy, a nader pożądany. Coż bowiem przyjdzie nieszczęśliwemu narodowi z téj naszej *donkiszoteryi*, którą się bawi i ludzi kilkunastu niedorostków, kosztem powszechnéj niewoli?.. Co mu przyjdzie z téj ciągłej walki z władzą, w której nie tylko przegrana ale i wstyd jest zawsze z naszej strony? Lepiej i słuszniej jest kraj *zbawić* jak się *w niego bawić*; a że drażnienie władzy krajem, to brzydka i niebezpieczna zabawa, przeto z serca życzę memu narodowi, aby jój zaprzestał. Zapewne, iż nie ma i może nie było żadnego Polaka, któryby ku szczęśliwszej przyszłości tęsknej myśli nie zwracał i nie żywił w sercu choćby odległej ale pocieszającej nadziei; lecz czyliż ta nadzieja przeszkadza przyznać dzisiaj fakt rzeczywistój władzy i dopełnić względem niéj obowiązków, jakie Bóg i okoliczności na nas wkładają? czyliż wolno popełniać samobójstwo w nadziei przyszłego zmartwychwstania?..

Zdaje mi się, iż nam się już nic z życia narodowego uronić nie godzi, bo chwile nasze są policzone, a najmniejsze nadużycie sił konieczną śmierć nam przybliży. Należy więc tak postawić się z władzą, iżby nam pozwoliła przynajmniej rozwijać się w tych swobodach, jakie nam się jako ludziom i jako Chrześcianom należą, a które w niczém ani jój powadze ani jój prawom niewłazczają. Nie możemy wymagać, bo jesteśmy słabi i pod karą, lecz możemy prosić, ta bowiem droga dla nikogo nie jest zamkniętą. Prośmy zaś tylko o to, co władza dać może; a każdy łatwo przewidzi, jak daleko żądania narodu w chwili obecnej uwzględnionemi zostaną. Nie domagajmy się rzeczy wielkich ale najpilniejszych i niezbędnych, a o te prośmy usilnie, nie zrażając się ani zwłoką ani trudnościami. Rząd często opóźnia z umysłu przyznanie słusznych nawet wymagań, a to dla przekonania się, czyli pod tém żądaniem rzeczy dobrej i z natury swojej niewinnej nie mieści się jaki utajony zamiar i cel uboczny. Téj ostrożności i podejrzliwości samiśmy rząd wyuczuli przez nieszczére i fałszywe z nim postępowanie.

A więc trzeba teraz wywołaną obawę władzy i jój nieufność znosić z pobłażaniem i cierpliwością, a przy dobrém żądaniu upierać się z wytrwałością, i prosić ciągle i nieustawać, a uzyskanych swobód lub dobrodziejstw z największém używać umiarkowaniem, aby rząd nie żałował uwzględnienia naszej prośby. Swoboda powierzona przez władzę narodowi jest jak depozyt, z którego w każdej chwili wolno zażądać liczby, i z którego naród winien się uczciwie wyrachować. A dla nas biędnych to każda swoboda jest jak pożyczka, z której dorabiać się powinniśmy z największą ostrożnością, składając na nasz majątek każdy grosz przyrobiony; bo w lada chwilę mogą

zażądać zwrotu kapitału, i znów dotkliwie cisnęłoby nas ubóstwo. Nie żądajmy nigdy wiele rzeczy odrazu, gdyż by nam wszystkie odmówione były; bo rząd jak kapitalista na pewne tylko hipoteki pożyczka, a prawdę mówiąc: hipoteka moralna narodu naszego w obec władzy trochę obciążona. Gdy więc zażądamy dużo, to nic nam nie dadzą; prosimy o mało, a skoro się władza przekona, że jesteśmy sumienni i rzetelni w małym, to da później i więcej. Nie mieszajmy nigdy do naszej prośby pochlebstwa i fałszywych obietnic a zaręczeń zbyt unizonych i niesumiennych; ale niech nasza prośba będzie jasna, prosta, ścisła, i niechaj technie obok uszanowania godnością i prawdą.

Rząd nas zna doskonale i wie, jak ma ocenić pochlebstwa nasze! Styl taki więcej go razi jak zniewala, i właśnie téj karmelkowej słodyczy i uległości mniej ufa jak szczéremu i prostemu wykładowi rzeczy. Wreszcie słabym i zwyciężonym jedyny skarb pozostaje w *godności*; niechże go strzegą: bo nie ma większej i cięższej niewoli jak upodlenie ducha.

Powszechnie jest narzekanie narodu a żal do władzy poniekąd słuszny, iż nasyła w kraj obcych ludzi na urzędy publiczne, ludzi, z miejscowością, ani z potrzebami ani z obyczajami narodu nieobznajomionych; ludzi, mówimy, którym porozumienie się z rządzonymi tém jest trudniejsze, iż ani mowy naszej nie rozumieją, ani stosunków społeczeństwa nie znają. Gdyby większa część winy nie była z naszej strony, tobyśmy ten żal narodu naszego podzieliali. Jednak przez szacunek dla prawdy, i w tym razie nas samych więcej aniżeli władzę oskarżać musimy; albowiem w epoce patryotyzmu negacyjnego powszechnie prawie dano sobie słowo, iżby nie przyjmować urzędów, z ra-

mienia obcej władzy płynących i *nieślużyć cudzym panom*. Młodzieży więc ani do urzędowniesposobiono, ani też szlachta o takowe ubiegać się nie chciała. Ci zaś, których stosunki majątkowe do przyjęcia służby publicznej skłoniły, byli przedmiotem ciągłego prześladowania i niemal wzgardy powszechnej. Wyłączano ich ze społeczeństwa narodowego, obciążano obelgami, otaczano podejrzliwością, słowem: tak nienawistna a często niesprawiedliwa ściagała ich opinia, iż nie tylko oni potem już zniechęcali się do narodu i tracili wszelką z nim spójność, ale i inni, bojąc się podobnego losu, woleli zdolności zmarnować, życie zmitrężyć, młodość rozprószyć w drobnej monecie zabawy, gry i próżnych zajęć, jak służyć krajowi w publicznym zawodzie.

Władza zatem, chociażby była chciała obsadzić urzędy ludźmi krajowymi, to dwie główne w tém napotykała przeszkody: brak właściwego uzdolnienia krajowców i niechęć poświęcenia się służbie publicznej, która się tak wyraźnie w narodzie objawiała. Niemożemy więc za złe poczytywać władzy, iż do pomocniczych urzędów powoływała obcych ludzi, w których miała zaufanie i którzy dawali jój rękojmią zdolności i posłuszeństwa, i gdybyśmy byli na jój miejscu, to samobyśmy uczynili. Lecz właśnie wada i grzech nasz w tém leży, iż my ani władzy nie rozumiemy, ani się nigdy w jój położeniu nie stawiamy, lecz ją sobie idealizujemy, i pragniemy mieć powolną a nawet posłuszną naszym szczegółowym życzeniom, nadziejom lub fantazyom.

Wtenczas urząd mamy za dobry i sprawiedliwy, gdy on dla pojedynczych spraw naszych gwałci ustawę lub obchodzi prawo. Wtenczas urzędnika nawet obco-krajowego chwalimy, gdy on z władzą naczelną wspólnych

nie ma celów, lecz one dla naszej dogodności poświęca. Zapominamy: iż urzędnik jest stróżem i wykonawcą praw a nie onych gwałcicielem; dla tego żądamy często usług i ustąpień, których urzędnik bez obrazy własnego sumienia uczynić nie może. Te zaś żądania i wymagania nasze posuwamy jeszcze dalej w stosunkach z urzędnikiem narodowcem. U tego dopominamy się nie tylko o obejście prawa ale i o zdradę stanu. Zdaje nam się, iż korzyść powinien taki urzędnik ze swego położenia ku osłabieniu władzy, ku utrudzeniu jej rządów i ku rozwiązaniu nas z obowiązków zależności. Kusimy go przeto wszelkimi sposobami, gramy na stronie jego patriotyzmu, albo łechcemy jego próżność; sumienie jego porywamy kamraderyą lub zachwiewamy pogroźkami; słowem, dopóty pracujemy, dopóki albo nie strącimy urzędnika z jego stanowiska wiernej służby, lub też nie zerwiemy z nim narodowej łączności. W pierwszym razie władza oszukana odbiera urząd przychylnemu nam stronnikowi, a w drugim urzędnik, widząc sprawę nie dopogodzenia, a chcąc się utrzymać na swój posadzie, zrywa z narodem, przechyla się całą duszą ku władzy, i staje się nawet surowszym od obcokrajowego, bo chce przekonać zwierzchność swoją, iż nietulega pokusom i stoi wiernie przy swoich zobowiązaniach.

Naród ma prawo wymagać po urzędniku sprawiedliwego wykonania i zastosowania prawa; może się domagać łagodnego i uprzejmego postępowania; cierpliwości w przyjęciu objaśnień; pośpiechu w załatwieniu naglącej sprawy; bezstronności w przedłożeniu wyższej władzy życzeń pojedynczych lub zbiorowych; lecz na tém się kończy zakres wymagań ze strony rządzonych, i zakres przywileju pośrednich urzędów. Kto więc urzędnika do większych ofiar kusi, naraża własne i jego sumienie. Lecz

i ten zakres tak jest szeroki i rozciągly, iż gdybyśmy szczerze, jawnie, sumiennie w stosunku z rządem stanęli, toby srogość ustaw mniej nas dociskała, i urząd mógłby się częściej i śmieliej za nami u władzy wstawić i o nasze prawa upomnieć. Wszakże nie dziwno jest, że tego nie czyni i nie śmie; albowiem przyzwyczajonym jest do wyrobioniej w obywatelstwie strategii oszukiwania prawa.

W naszym patryotyzmie negacyjnym liczono prawie na karb zasługi i cnót obywatelskich, gdy kto umiał podejść władze lub urzędnika, czyli gdy umiał (mówiąc wyrazem używanym w tej materji): *Okpić Niemca lub Moskala*, i nawet wyrosło u nas przysłowie: *Sztuką Niemców tłuka*. Otóż w tym jest fałsz i nierozum: bo najprzód ta sztuka służy tylko na raz jeden, a powtóre choćby się udało i razy kilka, to nikogo droga fałszu daleko niezawiedzie. Takie postępowanie jest wprost przeciwne duchowi chrześcijańskiemu, który jest *duchem prawdy* i niezapewnia zwycięstwa tylko *prawdzie*; przeciwne też jest interesom ziemskim, gdyż władza oszukana potem już i prawdzie nie wierzy, a nawet słusznych życzeń nieuwzględni.

Lecz strategia ta nie tylko jest zła, ale nawet i nierozumna; bo trudno przypuścić, iżby szlachcic polski, rolnik, z trybem rządowej organizacyi mało oznajmiony, a z charakteru prostoduszny, umiał oszukać władzę, która w rękę trzyma wszystkie nici społecznego urządzenia. Kłamstwo więc każde, choćby we floryturę wiejskich konceptów ustrojone i w słowa piękne obwiniete, nie ujdzie wprawnego oka urzędników. Cofną się oni w głębsz sprawy, przywołają w pomoc archiwa, rozłożą zakurzone akta przeszłości, i tak potrafią z anatomizować podanie, życzenie, cel najbliższy i cel najdalszy, iż kwiaty, zdo-

biące fałsz, po jednym odpadną, a zostanie się tylko nagi koścień kłamstwa. A więc złato jest droga owa uboczna, i szczerze życzę mojemu narodowi, aby jój odstąpił a szedł prosto i jawnie.

Lecz na to słyszę odpowiedź: *Cóż robić? kiedy rząd z nami téj drogi używa, więc my się téż bronimy.* Jeżeli rząd tak czyni, to jego grzech a nie nasz, i my dla tego ani do kłamstwa, ani do zdrady nie jesteśmy upoważnieni. Wreszcie rząd nie ma potrzeby względem nas używać podstępu, bo ma siłę, i co chce, to na nas wy- może; a gdyby używał, to go w téj broni nieprzewyższymy, bo on ma ku temu wszelkie środki, my zaś żadnego. Otoż postawmy mu naprzeciw jedyny nasz arsenał, to jest: *prawdę i nasz ucisk; prawdę*, mówię, otoczoną godnością i pokorą; *prawdę jasną, czystą, pogodną.* Zawsze się zapatrujemy na Chrystusa stojącego przed władzami, i na pierwszych chrześcian żyjących pod panowaniem cesarzów Rzymskich; oni dla nas są jedynym wzorem i oni nas w przykładach uczą polityki.

Jest téż wada w narodzie naszym, która jest dość powszechną a plami charakter narodowy; tą zaś jest zbyt- nia uległość w obec urzędu, a lekkomyślne zuchwalstwo i obmowa poza oczy. Gdy mamy interes w rządzie, to grzbiet sobie w pokłonach łamiemy, i usta nam się do uścisku składają; mówimy o władzy z taką czcią i mi- łością, z takiem uniesieniem, jakby o matce albo o ko- chance; oburzamy się na jój nieprzyjaciół, zapewniamy o naszej wierności, troskliwie się dopytujemy o powo- dzenie władzy!... gdy zaś ledwo za drzwi wyjdziemy, zaraz jakobyśmy czuli wewnętrzną skruchę za fałsz i po- chlébstwo, i chcieli powetować grzech przeciw narodowi: czernimy władzę, okładamy ją zarzutami, i nieszczędzimy

jéj nagan i złorzeczenia. Jestto i niepocziwe i niemądre; niepocziwe, bo jest zdradą i obłudą, a niemądre, gdyż o takim postępowaniu rząd się zaraz dowie, i potem odplaca nam pogardą a czasem i zemstą. Trzeba koniecznie wyprostować w sobie sumienie, i nigdy ani uległości do podłości, ani godności do zuchwalstwa nie posuwać, ale uszanowanie i uległość ofiarować władzy, a nadzieję i godność w sobie zachować.

Wielu znowu, szukając wziętości i oklasków gminu w systematycznej względem władzy opozycji, chodzi z głową zadartą i nadawszy się stąpa z góry szérokiemi krokami, aby się o urząd nie obetrzyć, niczego od władzy nie żądać, o nic nie prosić, i udawać patryotyczną niezależność. W tém jest fałsz: albowiem gdy już jest w jakim narodzie władza, to każdy (czy chce lub nie chce) od niej zależéć musi i być z nią w ciągłym stosunku. Ona jest jak główne koło mechanizmu, za jego więc poruszeniem wszystkie mniejsze kółka się poruszają, zahaczone trybami kół pośrednich, i parte siłą muszą wejść w ruch powszechny. Kto więc w negacyjnym patryotyzmie niczego dla narodu od władzy nie żąda, nic téż dla narodu nie otrzymuje,.... a czy lepiej z tém narodowi?...

Świeżo w narodzie naszym utworzyła się jakaś warstwa ludzi prawników, legistów, która się (nie wiem czy na prawdę, czyli téż żartem) inteligencją przezwala. Ten znowu rodzaj ludzi jest w ciągłym procesie z władzą i wyzywa ją na artykuły a męczy paragrafami. Dotąd nie wygrał naród ani jednej sprawy na drodze tego ich pieniactwa, ale to zyskał, iż władza, znudzona tym rodzajem wojny, przemazała i artykuły i paragrafy, a siłę miecza rząd powierzyła.

W rządzie, to jest w stosunkach obywateli z władzą,

dwie są drogi: *prawna* i *polubowna* (*officielle et officieuse*); do pierwszej odwołać się może naród, którego powaga równoważy się z władzą jego własną, ale drugiej używa z lepszym skutkiem naród w cierpieniu. Trudnoć się bowiem słabemu z mocnym prawować, lepiej i skuteczniej ugodzić się i uprosić. Życzę więc mojemu narodowi, aby rozpoznał dokładnie swoje położenie, a nie dawał się wciąż przez *inteligencyą* (?) w procesa z władzą, ale polubownie sprawy swoje załatwiał przez ludzi rozsądnych, umiarkowanych i poważnych, przez ludzi kraj a nie siebie kochających.

Kończę ten rozdział tą sumienną uwagą: że jako zły syn własnego ojca w grób wpędzi, i jego niebłogosławieństwo na siebie wywoła: tak znowu dobry pasierb najgorszego ojczyrna ku sobie zniewoli, i aż do pełnoletności w zgodzie pod jego dachem żyje. Tak też naród grzeszny dobrej nawet władzy z łona jego wychodzącej nie uszanuje, ale ją z-bezcześci, i anarchią u siebie stworzy; kiedy poczciwy naród, religijny, cierpliwy, ufny, pod władzą obcą rozwijać się, kształcić, i budować może, a zbierać dla siebie zasługę u Boga i u ludzi. Niechaj więc Polska w miłości praw ojczystych ale w uszanowaniu i posłuszeństwie dla władzy zbiera te zasługi; niechaj porzuci drogę fałszu i bezsilnego zuchwalstwa, a rozwijając się w tém, co jej jest dozwoloném, niechaj zagoi blizny, które ją stawiają blisko śmierci, i pomału a ciągle pod błogosławieństwem Bożém powraca do życia szerszego i doskonalszego, bo w cierpieniu wyrobionego i pracą ducha oczyszczonego.

O stosunkach wewnętrznych społeczeństwa Polskiego.

W każdym narodzie dwie są wyraźnie oznaczone części (a niemal powiemy) warstwy społeczeństwa: jedna *rządząca*, druga *rzadzona*. Pierwsza źródło swoje czerpie albo w sile i bogactwie, albo w rodzie i ciągu zasług familijnych (i z tą urosłej powadze i znaczeniu), lub w końcu w przewadze umysłowej i ducha. Słowem na ten podział społeczeństwa wpływają: ziemia, krew i duch, czyto z osobna i kolejno, albo też w pewnej z sobą kombinacji. Druga część składa się ze wszystkich bezwzględnie indywiduów do władzy nieusposobionych i tworzących bierny organizm narodu. Tak złożony naród porównaiby można do pojedynczego człowieka, w którym jest duch rządzący, czyli rozum i uczucie, a pod ich stérem zmysły, odbierające wrażenia i natchnienia ducha, jemu posłuszne, i czynne dopiero pod jego wpływem i kierunkiem. Słowem zmysły zewnętrzne w organizmie sąto siły i czynniki, przez które się duch wewnętrzny w świecie materyalnym objawia.

Pomieszanie funkcyi ducha i zmysłów tworzy nieporządek i nieład całego organizmu; i dla tego w języku naszym (nad który nie ma rozumniejszego) stan szaleństwa pomieszaniem zmysłów się nazywa. W narodzie przychodzi także szaleństwo, nieład i choroba całego organizmu, gdy się wyobrażenia o władzy i podwładnych tak pomieszają, iż *surowa część*, która jeszcze do rządu nie jest wyrobioną ani powołaną, chce gwałtem rządzić kosztem drugiej części wyrobionej, czyli kosztem prawdy i rozumu. A nawzajem, gdy część społeczeństwa, piastująca rzeczywistą władzę, udaje, iż chce służyć niż-

szęj warstwy narodu i onęj być podległą. Z braku koniecznego rozgraniczenia *duchowej* części narodu czyli rządzącej od zmysłowej czyli rządzonej, wypłynął dziesięjszy nieład społeczeństwa, i dopóty on trwać będzie, dopóki naturalnym trybem rzeczy nie zrobi się przyzwolity *osad* niższej warstwy, mającej słuchać, a *uduchowienie* wyższej, mającej rozkazywać.

Chaos, w jakim żyjemy, jest téż stanem przechodnim i do żadnej moralnej ani fizycznej zasady odnieść się nie da. Stan ten jest tyle niedorzecznym, ile rzucone w świat zadanie *wszechwładztwa ludu*, które w teorii sofistyczne, w zastosowaniu jest niemożliwe.

Nie masz większego ucisku dla ludzkości jak stan, w którym władza i wszystkie względne obowiązki w zagadkę są rzucone, albowiem nikt nie wie co ma czynić, i nikt nie zna swego właściwego stanowiska; ludzkość nie ma oznaczonej drogi ani celu, ale każdy wedle własnego domysłu posuwa się w prawo i w lewo, nudząc sobą i nic stałego nie przedsiębiorąc. Nie wiem nawet, co może być zachęcającego dla ludzi w téj obwoływanej zasadzie wszechwładztwa? Nie wiem, dla czego ma być ludziom wygodniej iść bez przewodnika i roztrącać się na obłądnych manowcach samych tylko domniemań, i co im w końcu przyjdzie z tego podwójnego kłopotu słuchania i rozkazywania, kiedy dość biedy z dopełnieniem jednego oznaczonego obowiązku.

Wystawmy sobie w rodzinie ojca familii poddanego wszechwładztwu żony, dzieci i domowników, a pojmiemy, jak tam wszystko cierpi i jest w rozstroju i zamieszaniu. W takim stanie więcej może dzieci od ojca są do pożałowania, bo uciążliwszy jest dla nich przywilój rządzenia jak posłuszeństwa. Jako więc w rodzinie

ojciec ma przywilej rządu, tak i w narodzie jest koniecznie jakaś warstwa, która nad innymi góruje i rządzi. Chodzi więc tylko o to, aby stosunek między rządzącymi a rządzonymi był ten sam, jaki zachodzi pomiędzy ojcem i dziećmi, i dla tego dopóty nie będzie dobrze na świecie, dopóki nie odszukamy w odwiecznym porządku układu patryarchalnego, nie natchniemy urzędów świeckich duchem zaczerpniętym w porządku moralnym czyli religijnym.

Założywszy więc podstawę naszego dowodzenia (niczem niezbitą a doświadczeniem stwierdzoną), iż każdy naród lub społeczeństwo składać się koniecznie musi z rządzonych i rządzących, czyli słuchających i rozkazujących, nie stawiam przecież dla nikogo wyłącznego i nieśmiertelnego przywileju rządzenia, ani téż téj zasady nie przywiązuję bezwzględnie do siły i bogactw, ani do rodu, ani do samego rozumu; lecz powiadam, iż z jakiegokolwiek materiału warstwa się ta w narodzie utworzyła, zawsze musi ona zająć swoje stanowisko wyższe nad *osadem* czyli warstwą *rządzoną*, która z natury swojej musi być uległą i zawisłą, i że tém samym między pierwszą a drugą naturalna stanie granica: różnicy powołania, czyli różności towarzyskich obowiązków.

O ile zaś w ciągu czasów ludzie z wyższej warstwy zniżają swoje posłannictwo, o tyle prawem ciężkości gantunkowej spadają w osad i wracają do posłuszeństwa; o ile z drugiej strony ludzie pojedynczy z niższej warstwy wyrobią się i uzdolnią do władzy, o tyle témże samém prawem podnoszą się do sfery rządowej. Nie chodzi mi więc o to, kto rządzi, i jak długo ma rządzić, ale raczej o to, aby rząd był ze sfery ludzi na czas do władzy powołanych i usposobionych.

Żadną sztuką, teorią i ludzką ustawą, nie da się warstwy rządzącej dorywczo utworzyć, ani wyrobu onęj naturalnego ale długiego i stopniowego zastąpić. Można zapewne skłócić wszystko na chwilę, i taki zrobić chaos, iż męty wyjdą na wierzch, a lotny płyn będzie na spodzie; lecz za jedną chwilę lub też w krótkim czasie naturalny rozdział powrócić musi, i to tylko się na górze utrzyma, co się gatunkowo do wyższej warstwy podniosło.

Rozgraniczenie wszakże pomiędzy warstwą rządzącą a rządzoną nie wyłącza harmonii, która stapia zarówno wyższą jak i niższą warstwę w całość zbiorową, i łączy je wspólnością celu, uzasadnionego na tożsamości plemienną, i na dogmacie religijnym i politycznym, będącym głównym zadaniem społeczeństwa. Złamanie tej harmonii ze strony władzy nazywa się despotyzmem, a złamanie onęj ze strony ludu czyli części rządzonęj nazywa się buntem, rewolucją, rokoszem. W pierwszym i w drugim razie wyradza się nieład, pochodzący z egoizmu i pychy, jako głównych rozczynników harmonii, porządku i pokoju, albo pochodzący ze *swawoli* czyli *wolności bezbożnej*.

Najdoskonalszy organizm narodowy jest w ten czas, gdy warstwa rządząca tworzy się naturalnie w skutku zasługi, cnót i poświęceń. Niższy organizm jest, gdy świecka nauka sucha, skąpa, a czasem sofistyczna, sama się na wyższe szczeble wynosi; mniej doskonała, jeśli się tylko na odziedziczonym przywileju opiera, bez dołączenia osobistych zasług i wartości; a najniższa, gdy w źródle siły lub bogactwa materialnego bierze swój początek. Wszakże często z dobrym skutkiem wszystkie te źródła wspólnie się łączą ku utworzeniu warstwy rządzącej, i tak też było

w Polsce przed zwichnięciem zasadniczych ustaw naszego chrześcijańskiego społeczeństwa.

Szlachta polska, z powodu własnych i rodzinnych zasług a osobistych poświęceń, oraz wyższości umysłowej, była warstwą wyższą, rządzącą. Ona, jako ciało obradujące rozwijała ustawy Boże w prawodawstwie świeckiem, a jako ciało rządzące wywierała naturalną władzę patryarchalną wśród młodszych braci do koła jeszcze nie powołanych i nie usposobionych. Szlachta z duchowieństwem, jakoby małżeństwo polityki z religią, stanowiła duchowy organizm narodu, który poruszał wszystko ku czynności, uzależniał i w miarę zasług podnosił resztę narodu. Szlachta kochała i rządziła, a niższe warstwy przez posłuszeństwo i poświęcenie się dochodziły kolejno do władzy. Dziś zaś szlachta, chociaż kochać nie umie, i rządzić nie może, to przecież słuchać nie chce, a tak już nie należy ani do warstwy rządzącej, ani do słuchającej, lecz zostaje w zawieszaniu między temi dwoma powołaniami. Chciałaby rozkazywać, a nikt jój nie słucha; a gdyby i chciała słuchać, to już nie ma kogo. Tak się to dzieje, kiedy przestawszy słuchać Boga, traci się razem zarząd i instynkt posłuszeństwa, będący warunkiem zachowania i utrwalenia porządku towarzyskiego.

Ale szlachta nasza nie tylko w społeczeństwie straciła urząd i powołanie, lecz zmieniła również swoją wewnętrzną naturę i już do siebie samój nie jest podobna. Dawniej ciało rycerskie czyli szlachta była porównana w prawach i obowiązkach, pomimo, iż w niej widzieliśmy stopniowanie dostojęństw wedle zasług dawnych i osobistych i wedle sprawiedliwego rozeznania najwyższej w narodzie władzy. Wszyscy jako *bracia szlachta* byli sobie równi, ale mimo tego urzędy wyższe i niższe wpro-

wadzały przyzwoitą hierarchią w tém jednolitem ciele społeczeństwa. Dzisiaj się przeciwnie dzieje: wszyscy bowiem pod względem urzędu jesteśmy porównani (gdyż żaden z nas niczém nie jest), ale za to rozróżniamy się między sobą większą lub mniejszą pychą. Zamiast, co-byśmy mieli postąpić od zasady *rodu* do wyższej zasady *ducha*, to się cofnęliśmy do najniższego źródła hierarchicznego, to jest do wyższości, jaką daje ziemia czyli majątek. Nie ukłonimy się już ani stariej zasłudze przodków (która rozjaśnia czasem odświeżonym blaskiem czoła młodszych pokoleń), ani się skłonimy przed zasługą osobistą żyjących, ale jak modni smakosze, idąc za węchem wytworniejszej potrawy, tam nasz hołd składamy, gdzie więcej widzimy środków zaspokojenia zbytkowych naszych zachceń, i gdzie się nam więcej błyszczy złoto i ziemski mamona.

Co do mnie, przyznaję, iż chociaż rozumiem wyższość porządku hierarchicznego z ducha nad rodowym, to przecież w imionach, które mi całą świetną przeszłość ojczyzny przypominają, lubię uczcić pamięć przodków a wyszukiwać w żyjących ślady dawniej ojców szlachetności. Nie czuję się wcale w duchu poniżonym; gdy uszanuję potomków rodzin, których poświęcenie dla kraju każda karta dziejów przywodzi; i nie tylko żadna mnie pokusa nie bierze spychać ich z wyższego stanowiska, ale własnych barkówbym im nadstawił, aby się na téj wyższości osobistą zasługą jak najdłużej utrzymać mogli. Są to wieże przy społecznej budowli, które dodają ozdoby, a wcale na sklepieniu nie ciężą, bo stoją na własnej posadzie i łączą się w zarysie estetycznym z całym gmachem narodowym.

Co w istocie psuje i szpeci organiczny skład koła

szlacheckiego, to owe świeże nadrostki pseudo-magnatów, którzy, jakby nowe a niewydarzone pieczywo, do panów nie dorastają a szlachtę przerosnąć kuszą się. Wyszli oni poza obręb koła i uciekają od obowiązków z solidarności szlacheckiej płynących, a niemając ani odwagi ani serca przyjść do wyższej godności na drodze pracy i poświęceń, przemycają się przez *salon* lub przez *sypialnię* do szeregu panów, i tam stają jako figuranty minionej już dworszczyzny. Szlachta, która ich z siebie wyłoniła, stale ich jako dżerterów od siebie odpycha; panowie, chociaż ich znoszą, przecież ich między siebie nie liczą; tak więc nie należą oni już do żadnej warstwy, ale jakiś tworzą osobny gatunek, dwuliczny, w narodzie nieprzydatny, i podobny do tych wczesnych owoców zwanych *nowaliami*, które na stole wielkich panów mniej są postawione ku pożywieniu gości jak raczej ku podziwieniu nowością i przyspieszonym wzrostem.

Widzieliśmy też zawsze smutny koniec tych inspektowych magnatów. Życie ich mdłe, chociaż wygórowało jak chmiel na tyczce, wiedło prędko i do nieubłaganej powracało nicości. A wtenczas, kiedy możne rodziny i wielkie imiona upadały pod gromem, który spadał na całe królestwa, i pod którymi ziemia jęczała z bóleści, to magnatek kończył całą swoją wielkość pod zębem lichwiarza, i nie na jego upadku ani ziemia nie utraciła, ani społeczeństwo nie szkodowało. Wielcy panowie są bądź co bądź jakby żyjące gmachy historyczne, które każdy uszanuje przez samą miłość przeszłości narodowej; szlachta jest jakoby budynek gospodarski, w którym się dary Boże gromadzą; ale panek to jak altanka chińska, w której zalotna pani lubi przesiadywać, lecz w budowie tej świątyni miłości nie ma ani fundamentu ani

ścian, ale tylko dach malowany, a na wierzchu pusta choć złocona gałka.

Mniejby mi o ten rodzaj chodziło, gdyby on nie był szkodliwym nadrostem; szkodliwym mówię, bo nie organicznym i na żaden użytek obrócić się niemogącym. Pisząc przeto o budowaniu społeczeństwa, nie mogę znaleźć na ten rodzaj miejsca ani w gospodarstwie, ani w rządzie, ani w przemyśle, ani w sztuce, ani w katedrze, ani na kazalnicy; a więc musi on zostać sprzętem salonowym i zabawką dla niewiast, bo dla nichto jest w cudzych krajach wykształtowany, cudzych rządów indyginatem herbowny, cudzym językiem mówiący, słowem: cudzy Polsce, cudzy jój przeszłości a zapewne... i jój przyszłości.

Niktby atoli nie uwierzył, jak wielki miała wpływ na zniżenie sprawy narodowej ta egzotyczna nadrośl, i jak dalece te grzyby wysuszyły żywotne soki społecznego organizmu. Wszakżeto przeciw nim utworzyła się w ostatnich czasach demokratyczna opozycya szlachty; i myliłby się bardzo, ktoby myślał, iż szlachta wiejska ma w nienawiści wielkich panów. Przeciwnie, szlachta nasza chociaż zuchwała (i przez zuchwalstwo zdemokratyzowana), szanuje tradycyą, bo w téj tradycyi siebie téż samą znajduje. Przy boku hetmana, kanclerza, wojewody, prymasa lub biskupa, widzi ona i swojego naddziada, który walczy, albo krzesło poselskie zajmuje, albo łańcuchem kanoniczym ozdobiony rozpiéra się w kapitule; kiedy przy magnatach nowego pieczywa krztusi się tylko wonią paryzkich pachnideł i nic nie widzi z przeszłości, niczego nie oczekuje w przyszłości. Że się więc demokracya między szlachtą przyjęła, to przypisać można wyłącznie opozycyi tego jędrnego starszlacheckiego elementu przeciwko mdławej formacyi

neopanów, którzy pychą drażnili szlachtę, a w poświęceniu jój nie sprostali.

Chłop także polski zawsze rozumiał i do dziś dnia rozumie *wielkiego pana i szlachcica*. Książę lub magnata chociaż rzadko widzi, ale go szanuje; albowiem w majątnościach wielkich panów nie tylko była zawsze zachowaną wyższą względem ludu sprawiedliwość, ale też i pewna wspaniałość i dobroczynność (właściwa moźnym), którzy ani potrzebują drobiazgowemi korzyściami pomnażać dochodów, ani w duszy nie mają wewnętrznego usposobienia do ucisku tych właśnie, którzy z nimi stawać nie mogą ani we współubieganiu, ani w zapastnictwie polityczném. Włościanin więc w dobrach możnych panów był dużo wolniejszym i szczęśliwszym; a chociaż bezpośrednio niedoznawał opieki, to też pod bezpośrednim nie jęczał uciskiem i prześladowaniem. W posiadłościach znowu średniej szlachty, na wsi zamieszkałej, wieśniak polski, chociaż uciążony, był przecież z dziedkiem swoim w ciągłych stosunkach; łączyła ich pewna solidarność, spólność jakaś sielska ziemi, powietrza, wody i pracy. Chociaż sobie często wzajemnie dokuczali, to się znali i znosić musieli (tak jak w małżeństwie lub w rodzinie). Słowem doznawał ludek Boży trochę ucisku od swego pana, ale znowu doznawał i zapomogi, a w reszcie z pokolenia w pokolenie nawykli do siebie, i szło to jakoś do czasu.

Tymczasem z neo-pankami nie chłopa nie łączyło, ani wiara, ani obyczaj, ani spólność pracy i kłopotów. Taki pseudo-magnat potrzebował znacznych dochodów, aby się na równi z panami postawić, i mieć za co odbyć podróż za granicę a szumić w stolicy. Puszczzał więc w dzierzawę posiadłości swoje i ciągnął, ile mógł z dzierzawcy,

a dzierżawca w imieniu jego obdzierał chłopa. Włóścianin znał tylko swego pana z uciążliwości, lecz się pomiędzy nimi żaden nie zawiązał stosunek, ani w kościele, ani przy zagonie, ani w szczęściu ani w nieszczęściu. Chłop nie znał w nim ani ojca, ani pana, ale *ciaracha* czyli *tyraka* (od wyrazu tyrać czyli poniewierać.) Zresztą pan taki, nieznając obyczaju ludowego, nie miał *słowa* zrozumiałego do chłopa, i nie wiedział nawet w czémby mu sprawiedliwość lub miłosierdzie wymierzyć. Łatwo jest więc pojąć, dla czego w większej części majątków posiadanych przez *panków* wyradzała się niechęć, która w zawiść wzrastała i czekała sposobnej chwili do wybuchu. Co się tyczy szlachty wiejskiej, trzy główne krzywdy, (nielicząc w to zewnętrznych) rozcinały zgodny z ludem stosunek: *zgorzenie pod względem religijnym; rozpusta*, a z tą największa obraza ducha dla *ojca, mężów, braci*; a w końcu *ekonom i Żyd*.

Nie można powiedzieć, aby u nas szlachta wiejska w ostatnich latach zbytnie przeciążała i prześladowała poddanych. Wielu nawet posuwało stosunki aż do przesadnej filantropii i demokratycznego braterstwa i równości. Może nawet szczerze kochali chłopa i szczerze dawali owe lekarstwa z domowej apteczki, ziarno ze spichrzów, a wreszcie wódkę na kredyt i pieniądze na odrobek. Lecz ta miłość dla chłopa była pogańska i nie miała wyższej posady. Dbano o ciało chłopa, i o jego materyalną egzystencją, ale nie kochano duszy chłopskiej; i ta sama ręka, która włóścianina z fizycznego upadku dźwigała, potraçała duszę jego w potępienie, a moralność i czystość uczucia w nim rozburzała.

Inny powód, który odstręczał lud wiejski od patryotycznej szlachty (z natury dobrej, ale mało rozważnej),

był ten natrętny sposób propagowania patryotyzmu i buntu. Chłop czuł i doskonale rozumiał, iż szlachta nie kocha Polski w ludzie i *dla ludu*, ale ją chce mieć *przez lud*. Nie chce jej też mieć dla chwały Bożej i dla wolności wszystkich, ale dla chwały swojej i dla swobód swoich. Sama nawet ofiara usamowolnienia od powinności pańszczyźnianych, nie z miłości ludu ale z miłości ojczyzny pochodziła. Widział przeto wieśniak w tej obietnicy wymianę ziemi za krew swoją i dla tego tak drogo okupić się mającej ofiary nie przyjął. Rzeczywiście chcieliśmy ludu nadużyć, to jest ponętą wolności nasz interes przeprowadzić, a myśleliśmy, że chłop się na tém nie pozna. Tymczasem w błędzie jest ów, który nasz lud ma za ograniczony; chłop nasz nie jest uczonym, ale też wcale nie jest łatwowiernym; u niego prosty rozsądek zastępuje inne umysłowe zdolności, a przecucie ostrzega go o podejściu lub niebezpieczeństwie!...

Lecz niechcę wznawiać bolesnych wspomnień, które niedość jeszcze opłakali jedni, a niedość odpokutowali drudzy; przejdę odrazu do stosunku, w jakim dziś szlachta z ludem wiejskim zostaje, i ośmielę się kilka przedstawić uwag, a razem stręczyć możebne środki pojednania.

W skutku doznanej jakiegokolwiek krzywdy budzi się w sercu pierwsze ludzkie a nawet zwierzęce uczucie zemsty, a przynajmniej nieubłaganego żalu. To uczucie płynie w owych chwilach z zasady wrodzonej własnego zachowania, i z gwałtownych wzruszeń nerwowych, którym krewkość oddaje się w usługi. Duch wszakże nie ma jeszcze w tej sprawie udziału i nic nie orzekł i nie sformułował; broni on się nawet od tych pierwszych wrażeń, i staje w walce z niższém uczuciem, które go do współki zemsty pociąga. Jeżeli w tej chwili ważnej duch ludzki

zaczepnie Boskiej pomocy, i wezwie Chrystusa na ratunek, to w odbytej wewnętrznej wcale zwycięży podnoszącą się zemstę w sferze niższych jego zdolności. Jeżeli zaś duch nasz sam dla siebie siły z nieba niezaczepnie, to najczęściej upadając pod natarczywością wzruszeń nerwowych, zniża się do namiętności, wplata w nie swoją siłę, bierze na siebie zarząd zemsty, i zaraz ją systematyzuje a uporem odznacza.

Otoż gdyby człowieka od człowieka Chrystus nie przegradzał i wzajem ludzi nie jednał, toby oni po każdej doznanej krzywdzie najprzód wyzwali się na ciała, i toczyli z siebie krew, a później wyzywali się na duchy, i pryskając jadem śmiertelnym, przemienili ziemię w piekło a siebie w potępieńców. Lecz właśnie w narodach chrześcijańskich zemsta jest zabroniona, a przynajmniej wszelką ma się sposobność uniknienia téj namiętności: albowiem prawo Chrystusowe pełne miłosierdzia łagodzi i przytępia gwałtowne zruszenia krwi i nerwów, a podwyższa siłę ducha i złamaną harmonią między zwaśnionemi przywraca, podzielone zaś królestwo znowu w jedną całość łączy.

Jakież atoli jest warunek téj zgody? oto przebaczenie czyli przewaga miłości nad żalem budzonym ciągle wspomnieniami krzywdy. Nie można się wprawdzie ustrzedz od natarczywości wspomnień, ale można się ustrzedz od przewagi żalu i takowy Bogu i dobru publicznemu w ofierze złożyć.

Słyszę wszędzie i zawsze skargi i namiętne wyrzekania właścicieli na dzisiejszy stosunek z włościanami; a chociaż dzielam słuszną żalobę pokrzywdzonych, to przecież nie myślę, iżby przedłużając rozdrażnienie i rozwodząc żale, mogli tém położenie swoje poprawić. Jakkolwiek było

wielkie nieszczęście i cierpienie, i jakkolwiek straty są nieobliczone, to należy je mężnie i szlachetnie policzyć w szereg spraw dokonanych, i przyjąć je w duchu pokuty i zazdość-uczynienia za własne i za przodków grzechy. Chodzi raczej o to: jakby dzisiejsze położenie zrobić znośnym, i jakby na nowo zawiązać stosunek z ludem, z którym przecież żyć trzeba wiecznie, czy w niebie, czy w krainach kary; a również i tu docześnie na ziemi, na której uczciwie i zgodnie żyjąc, wzajemnie się zbawić, a żyjąc w zawiści, wzajemnie się potępić można. Na to żaden polityk ani najmędrszy reformator ludzkości nie poda sposobu, jeno go stręczy na każdej karcie Pisma *wiara*. Onato w modlitwie Pańskiej nakazuje odpuszczać winowajcom; ona każe więcej jak do siedmdziesiątego razu przebaczać; onato nakazuje kochać tych, którzy nas nienawidzą, i ona przywodząc słowa zbawiciela mówi, iż *błogosławieni są czyniący pokój, albowiem nazwani będą synami Bożymi*.

Otoż nie na gruncie politycznym, ale na polu wiary i pod krzyżem Chrystusowym rozerwaną zgodę zawiązać należy. Bo zaprawdę: coż jest między szlachcicem a włościaninem rzeczywiście wspólnego? Plemiennosc?.. to jest wątpliwe; bo szlachta ma w sobie mieszanię Słowiańskiego i Lechickiego a Sarmackiego pierwiastku, kiedy chłop polski jest (z małym wyjątkiem napływu plemienia Tatarskiego) czysto Słowiański. Obyczaj?.. nie bardzo dziś szlachtę do ludu zbliża, bo na szlachtę wywierały wpływ obce zwyczaje, które przecież chłopów nie dotknęły.

Interes materyalny?.. ten owszem oddala ich dotąd jeszcze od siebie! Cel polityczny wcale ich także nie łączy. A więc jedyna wiara w Chrystusa ukrzyżowanego, zmartwychwstałego, i żyjącego w nas i wśród nas, jest wy-

łącznym węzłem, spójnią i środkiem jedności i zgody. Jakimże atoli sposobem zawiązać to chrześcijańskie braterstwo?... Do tego właśnie podam praktyczny środek.

Przypuszczając, iż szlachta wiejska zachowała jeszcze resztę wiary, lub do niej coraz więcej powraca tak przez sumienie jak i przez rozum, a wreszcie w skutku chłosty, która ją do poprawy ciśnie: życzyłbym, aby obywatele wiejscy wspólnie się z proboszczami porozumieli ku wskrzeszeniu i podniesieniu dawnych bractw, w każdej niemal parafii istniejących, ale zaniedbanych. Życzę, aby się szlachta wraz z ludem do nich zapisawszy, pilnie i szczerze obowiązki do tych bractw przywiązane pełniła, czyli to we wspólnej modlitwie czy w miłosiernych uczynkach.

Zwyczaj jest, iż bracia z kolei są przeznaczeni do posług wzajemnych w chorobach, pogrzebach lub nabożeństwach kościelnych. Szlachta, niechaj rzeczywiście (a nie tytularnie) do tych bractw należąc, od powinności wspólnych się nie wymawia. Drugi jest również zwyczaj, iż w takim bractwie oprócz plebana miejscowego, który z porządku rzeczy na czele bractwa stoi, jest świecki brat starszy i radzcy, czyli radni, oraz pisarz i podskarbi. Na te urzędy, zwykle najpobożniejsi i najczynniejsi bywają powoływani. Przed laty trzydziestą znałem bardzo blisko zamożnego obywatela, który w majątności swojej i parafii sumiennie do takiego bractwa należał. Starszym bratem był ubogi chłop, znany ze świątobliwego życia, podskarbisem był kowal a pisarzem sam dziedzic. Wczasie służby kościelnej ów chłop (brat starszy) zajmował pierwsze miejsce, po nim szedł kowal, a nareszcie pan włości. Całe bractwo ożywione było najlepszym duchem, i dopełniało obowiązków przywiązanych do téj chrześcijańskiej społeczności z największą gorliwością. Opiekowało się

szpitalem utrzymanym kosztem bractwa i że składkowych pieniędzy grzebało ubogich wieśniaków, a o sierotach miało starunek; wreszcie składało się na ozdoby kościoła. Taka zaś między niemi panowała miłość i zgoda, że z innych parafij wpraszano się do tego bractwa. Gdy zaś dziedzic téj majątności (w mieście o dziesięć mil odległym) umarł, całe bractwo z własnego natchnienia o mil pięć wyszło na przyjęcie zwłok wiezionych do familijnego grobu, i łzami pamięć jego uczciło, a zachowuje do dziś dnia błogie o nim wspomnienie. Otoż bez demokracji i bez polityki najczulsze zawiązało się braterstwo między ludem a dziedzicem.

Pod wpływem czystego ducha religijnego, nie zmienianego z wyobrażeniami wieku, tworzy się naturalny i trwały stosunek między ludźmi, których i różnica hierarchiczna w społeczeństwie, obyczaj, a czasem nawet interes ziemski dzieli. Lecz jeżeli obok tego stosunku da się jeszcze ustanowić wspólność interesów materyalnych, to ten węzeł jest tém praktyczniejszy. I tak: byłoby do życzenia, aby szlachta łączyła się z włościanami w pewnej przemysłowej wspólnocie, do czego każdodziennie znajduje sposobność, czyto w sprzedaży produktów czy w kupnie materyałów, czyli też nawet we wspólnej uprawie roli, z którejby się korzyściami dzieliła. W zachodnich krajach, gdzie od dawna nie ma pańszczyzny, właściciele większych posiadłości dzielą grunt na małe części, i te na połowę czystych dochodów pracowitym gospodarzom wypuszczają. Inne jest wprawdzie u nas położenie, albowiem ziemi jest stosunkowo więcej aniżeli rąk do pracy. Wszakże w każdej niemal wsi jest znaczna część ludności, która albo u dziedzica albo u kmieci zakupuje zagony na przysiewki, to pod kapustę i ziemniaki, to nawet pod ówies.

Otoż takich ludzi możnaby pomału wciągnąć do wspólnego obrobienia pola za część lub pewny udział korzyści.

Wszelkie stowarzyszenie rolnicze i przemysłowe na szerszy w narodzie rozmiar urządzone jest nader korzystne, gdyż tworzy masę kapitałów, czy to w gotowiznie złożonych, czyli téż w pracy i zdolnościach zespolonych, które pozwalają przedsiębiorstwo na pewniejszej postawić stopie i nadawać mu coraz większe rozmiary. W gminie atoli rozsądne stowarzyszenie rolnicze i przemysłowe większego właściciela z mniejszemi jest prawie dzisiaj koniecznym. Skarżą się właściciele więksi, iż włościanie po usamowolnieniu nie chcą wychodzić na zarobek. Jestto zapewne wielka strata jużto z uwagi na ogólną produkcją płodów ziemi, już na upadek majątków prywatnych; strata, mówimy, nieobliczona, i dla skarbu i dla ludności krajowej. Wszakże wcale nie jest dziwnym, iż w stanie takiego wzajemnego rozdrażnienia i niechęci (która dziś szlachtę z włościanami dzieli), ci ostatni nieczują moralnych pobudek ku poświęceniu chętniej pomocy dawnym swoim panom. Każdy z nas wolałby darmo pracować dla przyjaciela jak za pieniądze najmować się niechętnym sobie ludziom. Grosz więc nieżyczliwą ręką podany nie jest miłym, i z tego wstrętu tworzy się pewien upór, który coraz będzie trudniejszym do zwalczania.

Za granicą, gdzie ludność stosunkowo jest większa, a potrzeby ludu oświecześniejszego liczniejsze, i w których zbytek wchodzi już nie raz w rubrykę wydatków koniecznych, to lud uboższy jest nie raz zmuszonym do szukania zarobku bezwzględnie na odrazę lub niechęć ku bogatszej warstwie społeczeństwa. Ale u nas rzecz się ma inaczej: włościanin ma dużo pola a mało potrzeb; do pracy zaś jest najleniwszym ze wszystkich ludów Eu-

ropy; trzeba go więc zachęcać, nęcić, wciągać, tak moralnie oznaką przychylności, jak i materyalnie nadzieją korzyści; trzeba go niemal wychowywać do czynnego życia. Ten zaś tylko wychowa, który kocha, bo nikt nie idzie za radą nieprzyjaciela ale za zdaniem przyjaciela. Szlachta, chociaż niepanuje dziś *nad Gminą*, ale jest zawsze w *Gminie*, a więc wyłączać się z niej nie może i niepowinna, tak, jak to dziś przez żal i rozdrażnienie czyni, ale zrozumieć swoje położenie i z tego już nowego punktu wychodząc, w jakim ją wypadki postawiły, nie wzdychać za przeszłością niepowrotną ale budować ma raczej przyszłość szczęśliwszą a przynajmniej znośną. Nie znam dość złego położenia, z któregooby człowiek pracowity, obrotny i poczciwy nie mógł wyjść z korzyścią i chwałą, jeżeli dobrze je rozpozna, i weźmie je dla siebie za punkt wyjścia, a do niego się zastosuje. W czém się bowiem najczęściej ludzie myślą, oto właśnie w tym pochwyceniu rzeczywistego punktu wyjścia; i dla tego cierpią, gdyż zawsze odnoszą się nie do obecnego ale do przeszłego położenia. Zapominają, iż to, co służyło wczoraj nie służy już dzisiaj, i że każdy nie żyje w dniu *wczorajszym* ale w *dzisiejszym*.

Dopóki szlachta będzie płakać na rozwalinach przeszłości, a założywszy ręce oczekiwać jój powrotu, dopóty nic niezbuduje, ale się sama w ruinach minionego porządku zagrzebie. Nam nie płakać ale pracować potrzeba. Pracować z odwagą i nadzieją, i w sferze, do jakiej każdego wypadki doprowadziły. Wszakże ziemi nie ubyło, ludzi nie ubyło, ani wody, ani powietrza; a jeśli tylko porządek dawny się zmienił, to z nowym trzeba się zgodzić i myśleć na *przyszłość* a nie na *przeszłość*. Porządek jest *formą rzeczy*, a nie *rzeczą*, do formy więc nagiąć się można i należy, a rzecz swoją drogą rozwijać,

ziemię do produkcyi zmuszać większą czynnością, zdobywać pracą i ożywiać roztroprnym przemysłem.

Widzę bardzo często w obywatelach zniechęcenie do pracy, do majątków i do ludzi; w rozmowach dostrzegam rodzaj rozpaczki nader szkodliwej, która się nawet w przyszłości bluźnierczym wyraża: „*Bogdaj cię pan Bóg wsią skarą!*“ Taki stan jest nader grzesznym, i nieszczęśliwym, bo doprowadza rzeczywiście do moralnego upadku a materyalnej nędzy. Ktokolwiek zajmuje się jaką pracą, jest za nią Bogu, społeczeństwu, rodzinie i sobie samemu odpowiedzialny; powinien jęć więc dokonać sumiennie, pilnie i ochotnie; powinien pracować z miłością czyli zamiłowaniem swoich obowiązków, i z nadzieją zbierania owoców swęj pracy. Bez takiego uczucia praca byłaby największą niewolą, karą i nieszczęściem dla człowieka. Od nas wszakże wybór pracy zależy, i niechaj każdy tam czynność swoję zwróci, gdzieby pracować mógł z wolnością, z upodobaniem i korzyścią.

Jeśli komu tak już wieś zbrzydła, iż w nięj mieszkać ani pracować nie może, to niech ją sprzeda, a włoży kapitał w przemysł; jakoto: w handel zboża i wełny, lub w przedsiębiorstwo budowania dróg, albo niech małe banki zakłada po miastach, lub tęż fabryki dla naszego kraju stosowne, albo niech się stara o urząd zdolności jego odpowiedni i tam niechaj szuka korzyści własnej i narodowej. Z założonemi atoli rękami siedzieć i narzekać, nie nie przedsiębiorac ku wyjściu ze złęgo położenia, to niskich duchów jest rzeczą i słabość charakteru oznacza. Trzeba pychę szlachecką a raczęj przesąd z serca zrzucić a szlachetną ambicyą rozniecić, i przyjawszy sobie za cel: użyteczność ogólną i korzyść własną, obrać pewną drogę i na nięj z wytrwałością a energią postępować. W osta-

tnich wiekach przywilejem szlachty było: używanie i błogie próżniactwo, dziś niech hasłem jój będzie trud, czynność i zasługa.

Szlachcic mający kilku synów a jedną wioskę, niechaj odrazu sposobi dzieci do rozmaitych a szczegółowych zatrudnień, tak, aby mała częśćka, jaka im się dostanie, była raczej zapomogą do przedsięwzięcia jak wyłącznym ich kapitałem. Część, czyli scheda 10,000 a nawet i 20,000 Złp. jako majątek jest za małą, kiedy jako kapitał zakładowy w przedsięwzięciu jest dostateczną dla ludzi wyższą nawet zajmujących pozycyą. W przemyśle bowiem kapitał dobrane użyty trzy i cztery razy w rok obiega, a tém samém wyższy przynosi dochód.

Szlachta dzisiaj nie może między ludem dawnego naprawić stanowiska jak tylko przez wyższość umysłową, i przez obudzoną czynność a udowodnioną użyteczność. Niech więc jedni z zamiłowaniem w roli pracują, drudzy na urzędach zdolnością i sprawiedliwością się odznaczają, inni jako duchowni niechaj świecą przykładem cnót i żarliwości, a reszta niechaj w gałęziach przemysłu narodowego ćwiczy się i krząta.

Kobiety zaś, zamiast mieszać się do polityki, która jest dla nich mniej stosowną, a dla narodu wcale nie przydatną, niechaj zajmują się raczej wychowaniem własnych dzieci i starunkiem o sierotach, kalékach, chorych i starcach. Niechaj dobroczynnemi a nie politycznemi zakładami pilnie się zajmują; niech urząd swój miłości i miłosierdzia szeroko na korzyść cierpiących rozwiną, a Bóg ich staraniom pobłogosławi, gdyż zamiast tworzyć nowe powołanie, właściwego im dopełnią.

O zadaniu ważném urzędzenia majątków lub korzystnej sprzedaży posiadłości ziemskich w krótkce osobne

działko napiszę, i oddam je pod światły sąd współrodaków, tu zaś, dotknąwszy tylko kwestyi położenia właścicieli (z ogólnego punktu), chciałbym obudzić w nich odwagę do pracy, dodać otuchy i utwierdzić w sercach tę pewność: iż dzisiejszy porządek, na który tyle narzekamy, wyjdzie na lepsze dla narodu, i stanie się później źródłem pomysłności powszechniej, jeżeli się wcześniej do niego zastosowawszy, zaczniemy budować przyszłość, a nie wywoływać z grobu przeszłości niepowrotną. A tём samém: jeżeli zamiast wymawiać ciągle włościanom dawne powinności, zaczniemy raczej wmawiać w nich dzisiejszy obowiązek wspólnej pracy około uprawy wspólnej nam ziemi.

O przymiotach rodzinnych polskich, i o myślach napływowych.

Każdy naród ma swój przymiot rodzinny czyli pewne duchowe znamię, które go od innych rozróżnia. Jestto ów talent ewangeliczny *ku przyrobkowi* szczególnym plemionom powierzony, aby z niego rozwinęły swój obyczaj, język, literaturę i sztuki, oraz wewnętrzną i zewnętrzną politykę.

Ten przymiot *rodzimy* tak się dobitnie wyraża i góruje wśród innych zdolności, że nadaje on ogółowi narodu pewien charakter wyłączny i staje się piętnem jego narodowości. Jak zaś w pojedynczym człowieku sędzimy z przeważnego w nim przymiotu o jego charakterze i temperamencie, a oceniamy właściwą mu indywidualność tak również z publicznego przymiotu sędzimy o usposobieniach plemienia i tworzymy sobie zdanie o wartości i przeznaczeniach narodu.

Tego przymiotu ani całe plemię, ani żaden pojedynczy człowiek zatrzyćć w sobie nie może bez wyrzeczenia się narodowości i bez wyłączenia się z plemiennego społeczeństwa. Rozwijać go zaś każdy powinien i przestrzegać jako talizmanu życia. Niewolno mu atoli zamienić go na obcy przymiot, albowiem popełniłby samobójstwo, przez które, tracąc własną indywidualność, przejśćby musiał koniecznie pod moc i prawo tych, od których sobie myśl i charakter przyswoił.

Narodowość jest jakoby ręką Bożą zaczęte tło krajobrazu na kanwie życia narodowego. Zapełniać go szczegółami i powiększać jego rozmiar każdemu wolno i przystoi, ale zmieniać pierwotnego zarysu niechaj się nikt nie waży; albowiem ze szkodą planu Bożego stworzyłby rzecz inną, zupełnie od pierwszej różną, i popchnąłby naród na drodze obcych przeznaczeń.

I tak: zmieniwszy pierwszy zarys narodowości polskiej, można na téj saméj kanwie wyrobić krajobraz Francji, Anglii, Niemiec lub Rosyi i otrzymać kopią mniej lub więcej dokładną tamtych narodowości, ale nie będzie to już Polska ze swoim piętnem, lecz tylko ciało polskie obcym duchem natchnione, i podobne do staropolskiego domu, w którym po śmierci gospodarza cudzoziemiec zamieszkał.

Zadanie więc dla każdego jest proste, a wybór łatwy i jasny. Jeżeli naród chce istnieć choćby w najodleglejszej przyszłości, to musi przymiot swój wewnętrzny zachować i kształcić; jeśli zaś pomiata nim i obcą myśl przyswaja, to na próżno dopomina się narodowości, którą już dobrowolnie poświęcił i na korzyść innego narodu złożył.

Wielu dzisiaj myśli, iż narodowość leży w tej lub owej formie rządu, w tym lub innym układzie społecznym, i wyłącznie w samej ziemi, albowi tylko w zewnętrznej kraju niepodległości, i dla tego poświęcając myśl główną, to jest ducha narodowego i pierwolity przymiot, uganiają się namiętnie za powłoką czysto zewnętrzną narodowości, i że tak powiem, odrzucają na bok jądro a dobijają się o łupinę. Widzimy co dzień przykłady, iż ludzie krzątający się około sprawy polskiej, przyglądają się jej przez szkło francuzkie albo angielskie; jedni czerpią swoje natchnienia w liberalizmie francuzkim, a drudzy, którym się toryzm angielski więcej podoba, chcieliby go żywcem do Polski zastosować, i zawczasu się już do tej oligarchicznej pozycyi nadymają. Jestto prawdziwe nieszczęście, iż tam, gdzie trup leży, to się zarówno wilki, wrony, i gawrony zbiegają, aby łup między siebie podzielić; tak też i trupa Polski ptastwo demokratyczne dziubie po kawałku, a wilki anglo-polskie szarpią go większemi ćwierciami.

Nie można nosić wewnątrz obcego ducha a Polskę budować, tak, jak nie można stawiać przybytku Bożego wedle zarysu stajni lub stodoły. Trzeba żyć życiem Polski, zrozumieć jej przymiot rodzimy, cofnąć się myślą do jej założenia, iść za nią ślad w ślad od kolebki aż do grobu; trzeba utworzyć sobie w duszy pewną całość wyobrażeń i niemal szkic żywota narodu, aby odgadnąć poco Opatrzność nasze plemię do godności organicznej egzystencyi podniosła... jakich mu ku temu środków udzieliła, jakim obciążyła naród obowiązkiem, a w końcu jaką mu wytknęła drogę wiekowych przeznaczeń.

Kto się sumiennie i bezstronnie wtajemniczy w duchową naturę swojego narodu, zrozumie z łatwością pochodę jego szczęścia i chwil pomysłnych, również jak i

źródło nieszczęść, niewoli i upadku. Słowem, zrozumie przeszłość, pojmie co ma czynić w terażniejszości i niemal odgadnie przyszłe Boga zamiary. Do tego jednakowoż przyjść nie można bez wewnętrznej ofiary. Trzeba się wyrzucić napływowych myśli, zamknąć oczy na środki, których inne narody z pomyślnym skutkiem używały, zapomnieć niemal cudze dzieje i wziąć rozwód duchowy z polityką dzienną; złagodzić w sobie wszystkie namiętności żalu i oburzenia na kary, które Opatrzność zesłała i zsyła; słowem, trzeba na chwilę zawiesić działanie krwi i nerwów, a w duchu uspokojonym szukać pierwotnego przymiotu narodu, i dochodzić, gdzie go naród odstąpił, gdzie nadużył lub zwichnął, kiedy go z obcym pierwiastkiem pomieszał, kędy grzechem zabrudził, wreszcie kiedy i jak naród znamię swoje utracił na korzyść czyją, lub jakiej zasady. A w tenczas, po zgłębieniu psychologicznej natury społeczeństwa, wolno jest jąc się myśli budowania rozburzonego gmachu i naprawienia szkód moralnych, które myśl narodowa poniosła.

Ważna ta praca, ani łatwo ani dorywczo obrobioną być nie może, a tém mniej w szczupłym zakresie tego dziełka objętą; wszakże chcieliśmy zwrócić uwagę czytelników na szkody, jakie sprawia mylne zastosowanie wypadków obcokrajowych do polityki narodowej, i przyswajanie sobie cudzych przymiotów a płynącego z nich trybu postępowania.

Odpowiedzą mi niektórzy: „*iz co dobre za granicą, to można sobie przywłaszczyć i naśladować*“. Niezaprzeczam, iż wolno jest narodowi wzbogacać się nauką i dobreimi wzorami innych krajów; lecz zupełnie co innego jest *przyrabiać* dobre, a co innego *przerabiać* z dobrego i swojego na obceizłe. Wolno więc do posiadanego już przy-

miotu przyczynić inne, na których narodowi zbywa, ale niewolno własnego talentu wymieniać za cudzoziemski liczbom i tym sposobem przekształcać naturę ducha narodowego. Widzimy, iż w pień drzewa da się obcą gałązkę wszczepić, ale nie można drzewu ani korzenia innego podstawić, ani przemienić jego właściwego rodzaju. Słowem, jak każde drzewo ma swój rodzaj, i każdy człowiek swoją charakterystyczną indywidualność, tak naród ma wyłączną naturę duchową i przymiot swój plemienny, który jest podstawą jego rozwoju obyczajowego i politycznego.

Jakiż tedy jest pierwoliity przymiot narodu polskiego? Oto bez zaprzeczenia: *dobra wiara*, która płynie u nas z kombinacyi wiary i miłości czyli dobroci. Ten przymiot otrzymał naród nasz jako dar nadprzyrodzonej łaski, wrobił go w naturę swoją, i przeprowadził przez swój obyczaj, ustawy, mowę, literaturę i sztuki. Nim się kierował przez kilka wieków w polityce swojej wewnętrznej i zewnętrznej; on był podstawą jego życia w rodzinie, w społeczeństwie i w stosunkach z pobratymcami i z sąsiadami, i byłby go do wielkiej świętości i szczęścia doprowadził, gdyby go był naród wiernie przestrzegał, a coraz szerszej w duchu Bożym rozwijał.

Obok *dobrej wiary* nic się nie utrzyma, co jest krzywem lub co fałszem trąci, i dla tego żaden podstęp, i tak nazwana zręczność polityczna, z charakterem się polskim nie zgadza. Żaden spisek, konspiracya i podejście się nie udaje. Prostoduszna Polska padała często ofiarą swojego rodzimego przymiotu, i nieogłędna a poświęcona dała się łatwo oszukiwać; lecz pożyteczniej jest narodowi być uwiedzionym jak uwodzającym, i zaszczytniej zginąć dla prawdy jak żyć dla fałszu. Szczerość u nas i otwartość do wysokiego stopnia posunięte były, dla

tego téż kto nas oszukiwał, tém większą popełniał zbronię, iż mu nadużycie zaufania naszego z taką przychodziło łatwością. Śmiało więc powimy: że kto nas gorszył i uczył podstępu a zdrady, rzeczywiście gorszył *maluczkich* (według wyrażenia Pisma), i wielka go przed Bogiem czeka odpowiedzialność.

Lecz gdy wiara i miłość (jakby zasiów Boży na bujny grunt ducha polskiego rzucony) rozwijały się w układzie czysto katolickim społeczeństwa naszego i bogaty plon w cnotach narodowych wydawały, przyszedł protestantyzm zachodni, a z nim przeczenie porządku Bożego, i stracił Polskę z toru jój przeznaczeń. Nie tylko zaś narodowi zaszkodził jako negacya religijna, ale równie jako niedokwas polityczny, czyli rozczynnik głównych zasad naszej społeczności. Coż jest bowiem w ścisłym znaczeniu protestantyzm? .. oto tranzakcyja chrystyanizmu z cywilizacją Grecko rzymską, czyli fałszywy sojusz prawdy chrześcijańskiej z pogańskim kłamstwem. Polska, która nigdy nie przechodziła (tak jak i inne narody zachodnie) przez szkodliwy wpływ téj cywilizacyi, zostawała téż w zupełnie innych warunkach w chwili przyjęcia słowa Bożego. Była to biała karta, na której Bóg prawo swoje spisał i nad które nie było wyższego ani starszego.

Kiedy więc zachodnie narody, cywilizacją Rzymsko-grecką przesiąkłe, Bóg przeradzać musiał, to nasz się w Chrystusie urodził, i stanął w famii państw, jakby nowa wyspa podniesiona z głębi mórz wśród archipelagu. Nie dziwno więc, iż piérwszy zarys społeczeństwa naszego był wedle planu Chrystusowego królestwa, albowiem z Ewangelií a nie z prawa Rzymskiego uczyliśmy się obyczajów i polityki. Z téj atoli drogi sprowadzeni, i fałszem uwiedzeni, przeszliśmy z tą samą dobrą wiarą do negacyi u-

znanęj w pierw prawdę i zacierałiśmy stopniowo pierworodne przymioty naszej narodowości, a konieczném następstwem padaliśmy pod ciosami Rzymsko-zachodnięj i Grecko-wschodnięj polityki.

Z dwu więc cnót zasadniczych: *wiary* i *miłości*, rozwinęła się od pierwszych chwil w charakterze naszym plemiennym: *prostoduszność* czyli *prostota ducha*, połączona z gorącą serdecznością. To zaś piętno jest zarówno właściwe Polakom jak i innym plemionom słowiańskim, z tą jednak różnicą, iż w Polakach te ważne przymioty rozwinęły się pod wpływem światła i ciepła wiary katolickiëj i pod nadzorem kościoła, a przyjęły formę wydatniejszą w obyczajach, prawodawstwie, literaturze i sztukach, a niemniej szerokie znalazły zastosowanie w życiu społeczném i polityce narodowëj, kiedy w innych plemionach (dla wielu przeszkód) pozostały tylko w obrębach cnoty indywidualnej lub rodzinnej.

Z drugiëj strony, przymioty wiary i miłości wspólnych nam plemion, mieszały się już gdzie indziej z uporem Mongolskim lub fałszem Germańskim, kiedy Polska przez 600 lat zachowała je w czystości i dopiero w ostatnich wiekach obco-krajowym wpływem je zabrudziła.

Wyższego przymiotu od naszego żaden chrześciański naród nie odebrał. Z wiary bowiem i miłości płyną wszystkie inne cnoty, a wolność przyrzeczona jest narodowi, który je posiada, rozwija i zachowuje. Kto wierzy i kocha, ten z wolnością rozwija dzieło Bóże, albowiem wiara służy mu za przewodnika, a miłość stanowi jego siłę. W Polakach więc utworzyło się w sposób bardzo naturalny uczucie wolności; albowiem każdy, który ma na celu rzecz dobrą, pragnie téż posiadać środki spełnienia onëj; że zaś wolność dla wiary i miłości jest tylko środ-

kiem, a więc Polacy słusznie się jój domagali, i w owych czasach rzeczywiście im się należała. Jak anioł służący Bogu używa zupełnej wolności, tak dalece, iż go sztuka chrześcijańska w skrzydła przyodzięwa, tak również człowiek, który wierzy i kocha, stojąc najbliżej anioła, ma też prawo do wolności synów Bożych, dopóki onęj na chwałę Bożą używa. Z przymiotów więc naszych wyrobił się pewien polot duchowy, który nieraz kosztem ziemskiej rzeczywistości każdą sprawę do najwyższego ideału podnosił, i stworzył z nas naród poetów, mniej o rzeczy doczesne troskliwych jak spełnieniem wyższego posłannictwa zajętych.

Z upadkiem atoli wiary, a tém samem z osłabieniem miłości, wolność przeszła u nas w swawolę, czyli w pragnienie rozwijania nie już myśli Bożej, ale myśli swojej, i dla tego popchnęła nas do nieładu tém prędzej, im mniej przeciwważona była *ludzkim rozsądkiem* i *ziemskiem wyrachowaniem*, którego to przymiotu nie posiadamy.

Polak więc, który dawniej zbliżał się przymiotami swojemi do anioła, zwierzęcejac z upadkiem wiary coraz podobniejszym stawał się do ptaka; i rzeczywiście my dzisiaj wśród obcych nam narodów z wielu przymiotów naszych wyobrażamy *ród ptaków*. Polotni jak ptacy, próżnujący i mało oględni na przyszłość jak ptacy, płocho się zrywający, niestali, łatwowierni, a w ostatnich czasach razem z ptakami gromadnie do cieplic wędrujący, z wierzbypolskiej na palmowe drzewo Afryki lub Azji przelatujący, wszystkie ptasie mamy przymioty. Kochamy wolność, ale jój użyć nie umiemy; pod sić lub w potrzask każdy nas z łatwością złapie, każda ponęta nas zwabi, a cywilizacya nasza opiera się jak u kanarka na wyuczo-

nój z pozytywka nucie, lub jako papugi i sroki na naśladowaniu obcych krajów mowy.

I coż nam przyjdzie z owych skrzydeł wolności, skorośmy przymiot narodowy wiary i dobroci utracili? Coż nam przyjdzie (zamkniętym dzisiaj w klatce) z posiadanej zdolności latania? lepiejby nam było może chodzić po ziemi z wiarą i miłością, jak bez nich na skrzydłach niedoperza rozbijać się po nocy wśród zwalisk własnej ojczyzny.

Wrócić do przymiotów wiary i miłości jestto powrócić do narodowości polskiej, i nikt mnie nie przekona, aby bez owych przymiotów szczęśliwy nawet zbieg wypadków wskrzesił naród, który życiem i obyczajem powołaniu swojemu zaprzeczył. Gdybyśmy rząd Polski mieli, króla, lub republikę, wojsko swoje i skarb własny, a wiary i miłości nie mieli, lecz bredzili cudze fałsze tak, jak to dzisiaj czynimy, i żyli nienawiścią, a miotali bluźnierstwa przeciwko Bogu i bliźniemu, tobyśmy byli zawsze w narodzie naszym cudzoziemcami, w Polską tylko szatę ubranymi, i wyglądalibyśmy jak robaczywy orzech, *na Mi-kołajki* malarskiem złotem ozdobiony. Język nawet nasz czyli mowa ojczysta, dawniej na chrześcijańskiej myśli osnuta, straciłaby swoje właściwe piętno, i nie moglibyśmy jęj używać do określenia wyobrażeń, obcych naszej duchownej naturze, ale musielibyśmy stworzyć język nowy, wyrazy nowe i składnią nową (do stylu pocziwych przodków naszych ani podobną). Jakoż widzimy już dzisiaj, że nowi akatolicycy filozofowie wykrztuszać z siebie muszą zupełnie nowe wyrażenia, zastosowane do pojęć świeżo wyssanych z macoszynych piersi.

Obyczaj nasz uprzejmy ale prosty (w niektórych jeszcze domach szlacheckich i w ludzie przechowany) musiał-

by przybrać piętno obce i zastosować się do sfałszowanej myśli. Poezya nawet, ta święta pieśń ducha, która nam w tak tkliwych obrazach piękności nieba i ziemi malowała, zmieniałaby swoje znamię i przestałaby się łączyć z chórem aniołów, których Polacy zawsze do wtóru w pieśni wyzywali. Czyliż nie żal Polsce tego wszystkiego? O żal zapewne, ale żal tylko następstw a nie żal zasady. Żal języka, obyczajów i poezyi, a nie żal wiary i miłości.

Utrata zaś przymiotów narodowych nie tylko jest dla Polski największą szkodą i równa się samobójstwu narodu, lecz razem przynosi dla współplemieńców naszych nader ważny uszczerbek. Kiedy bowiem przewodnik zmyli drogę, to nie tylko sam błądzi, ale pociąga za sobą w o-błąd tych wszystkich, których miał prosto do celu prowadzić. I coż się w tenczas dzieje? oto albo wszyscy razem w przepaść lecą, albo téż wędrowcy, rozgniewani na przewodnika, odpędzają go precz od siebie, i sami drogi szukają, lub czasem nawet puszcza go na zatracenie, posądzając o złość lub zdradę.

Nie darmo Bóg tylu łaskami obdarzył ojczyznę naszą, nie darmo pozwolił, iżby się pierwsza rozkwiliła wśród plemion słowiańskich, nie darmo dał jej samodzielność. Włożył on na nią (jakby na matkę) obowiązek wychowania młodszych plemion, dla nieba i dla ziemi, a obciążył ją odpowiedzialnością za każdy krok uczyniony na drodze przodkowania i przykładu. Z wiary więc i miłości sądzić nas Bóg będzie nie tylko za nas samych, ale i za tych, którym wiarę i miłość dać byliśmy powinni. Sądzić nas będzie nie tylko za utratę ale również i za niedorobek, bo żaden naród nie żyje tylko dla siebie, ale dla chwały Bożej i dla dobra innych, a tém bardziej

dla tych, którzy najbliżej są plemienném pokrewieństwem i tożsamością przymiotów duchowych złączeni.

Czegoż się dzisiaj od nas pobratymcy nauczyć mogą? czy anarchii Francuzkiej, czyli téż Angielskiej oligarchii i zinnego protestantyzmu, albo racjonalizmu Hegla, lub socyalizmu Gryna? Gdyby im te fałsze były potrzebne, to po cożby mieli chodzić do nas i nabywać je z drugiej ręki, (jako towar przemycany i uszkodzony), kiedyby w samym źródle mogli zaczerpnąć przymiotów, na które ciągly jest targ na zachodzie. Cóż my im damy Polacy z naszego i z własnego? nic nie mamy do dania, bośmy co było nasze, stracili, a co złe od obcych nazgromadzali. Oni nas proszą o prawdę Polską, a gdzież my tę prawdę mamy?... Prawda Polska leży w wierze i miłości; a w czémże się to u nas objawia ta wiara i miłość? Oni się zapatrują na organizacją naszego społeczeństwa, pod czas, kiedy u nas jest najwyższa dezorganicya wewnętrzna, rozbitcie i nieład. Oni się pytają co to jest wolność, i jakie ona przynosi owoce? a my im wskazujemy swawolą i rozpustę, a jój owoce w niewoli i śmierci. Oni nas chcą powitać w imię zgody i pokoju, a my im odpowiadamy pogroźkami wojny. Biada nam! bo za zgorzenie cięższa przyjdzie kara jak za grzech własny. Biada nam! bo staliśmy się dla plemion słowiańskich jako suche źródło, które już ani ojczystych ani sąsiednich pól nie użyźnia.

Każdy naród jest jako pojedynczy człowiek, który najprzód powinien kochać Boga, następnie powinien kochać własną duszę, to jest przestrzegać skarbu, jaki Bóg we wnętrzu jego złożył, później opiekować się rodziną jako mu najbliższą, w końcu zaś winien kochać bliźnich swoich i względem nich ściśle zachować sprawiedliwość. Naród

téż powinien dbać najprzód o własne zachowanie, przestrzegając duchownych przymiotów, jakimi go Opatrzność obdarzyła, a szczególnieji wiary, będącej pierwiastkiem życia. Powinien kochać spółplemieńców jako krewnych swoich, a inne narody jako bliźnie. Zazdrość, która się budzi między plemionami, jest przeciwną pokrewieństwu i wyradza grzech Kaima. Biada narodowi, który piérwszy rękę na bratnie plemię podniesie!

Polska w początkach swego istnienia rozumiała to powołanie i zjednać sobie potrafiła pewszeczną młodszą rodziny miłość. Przeznaczenie jój, jasno i wyraźnie wytknięte, nie tylko nie obrażało interesu plemion słowiańskich, ale owszem pomagało do spokojnego i postępowego rozwoju prawdy Bożej w narodach pobratymczych. Z podwójnego jój powołania: apostołstwa na wschodzie i na północy, a obrony rozwiniętego już chrześcijaństwa na zachodzie, stała obliczem zwróconą ku wschodowi, a światło z góry czerpała. Gdy zaś przeznaczenie swoje zwichnęła, raptem zwróciła się obliczem na zachód i jakby satelita Francyi pożyczaném od niej błyszcząc zaczęła światłem, rzucając cień na te właśnie plemiona, które od niej promienia prawdy oczekiwały.

Bóg przeto widząc, iż Polska stała się później jakby niezgrabną parodią innych narodów zachodnich, i krajem tranzytowym fałszu obcokrajowego, odebrał jój poselstwo do Słowian, zrzucił ją z urzędu, i podał w niewolą czyli w ciemności zewnętrzne obcego panowania.

Nie chcemy przesądzać wyroków Opatrzności ani miłosierdzia Bożego, nie chcemy téż rozpaczać o poprawie naszego narodu: wszakże trudno przed samym sobą zataić smutnego przeczucia, iż Polska dobrowolnie coraz głębiej w grób się zapada i ostatecznie śmierć

połknie, jeśli do przymiotów wiary i miłości powrócić nie zechce.

Wiara zaś nie opiera się tylko na samej czci zewnętrznej; i dla tego to nie dość jest w niedzielę jechać do kościoła a plebana na obiad zaprosić; nie dosyć jest pluskać w rozmowie pochwyconym z Ewangelii tekstem, ale trzeba całego ducha poddać prawu Bożemu a uczynki wedle ducha urządzić, tak, aby Bóg kierował myślą a czyn wypływał z myśli prawdą Bożą oświeconej.

I w miłości też bliźniego nie dosyć jest ogłaszać zasadę zgody, i narzekać na rozdział społeczeństwa, a szumić braterstwem, ale trzeba krzyż bliźnich dźwigać, to jest znosić ich ułomności i (nienawidząc grzechu) miłować grzesznika, szukać go, podnosić i przed własnym sądem a również przed drugimi oczyszczać. Trzeba zacząć epokę wzajemnej rehabilitacyi, czyli wzajemnego usprawiedliwiania. Bo w istocie, patriotyzm budujący najwięcej na tém polega, aby co upadłe podnieść, co słabe pokrzepić, co oziębłe w narodzie ciepłem wiary i miłości zagrzać, co zmięrające duchem z nieba zaczerpniętym ożywiać. To zaś wszystko nie jest całego społeczeństwa ani rządu dziełem, ale jest pojedynczych ludzi pracą. Każdy może, i każdy powinien krzyż najbliższego swego sąsiada dźwigać, a dobrą jego stronę upatrzawszy, pielęgnować, rozwijać i wyszukiwać jęj pierwěj aniżeli ułomności do natury ludzkiej przywiązanej, wedle zdania mistrza naszych poetów:

Przyszedt mądry, i spojrzat na mą nogę prawą,

Głupi na lewą, którąm miał kulawą.

Jakby na przekor prawdzie najwięcej dzisiaj w Polsce o miłości i braterstwie mówią, a przecież nie było wieku, w którymby mniej było wzajemnego miłosierdzia,

wyrozumienia, szacunku dla sławy bliźnich, poszanowania dla zdań, i względu dla wieku i zasług. Miłość przecież socyalna a nienawiść indywidualna w parze z sobą chodzić nie mogą, bo nie ma cnoty publicznej na występku prywatnym opartej. Przyjaźń nawet nasza dawna, tak serdeczna, prostoduszna i czysta, przyjaźń, która była jednym z przymiotów społeczeństwa Polskiego; *gościnność* odznaczająca życie dawne, wszystko to zmieniło już swoją naturę, straciło znamię dawniej prostoty i prawdy.

Wrócić więc do myśli narodowej tém prędzej nam potrzeba, iż, gdy do sojuszu powołani być możemy przez narody bliskie nam krwią, to albo się przed nimi stawimy z piętnem naszym duchowym, po którym nas poznają, lub też bez niego, a w tenczas jako obcych nas odtrąca, odzywając się do nas słusznie: „Idźcie bratać się z tymi, których piętno nosicie.“

Lecz gdybyśmy odepchnięci przez swoich mogli nawet znaleźć u obcych plemion współzucie, to po ziemsku mielibyśmy może jakąś pociechę; ale niestety! tak nas Opatrzność postawiła, iż gdy się z własnych wyzujemy przymiotów, to nikt się do nas nie przyzna, ale owszem każdy nas się zaprze i palcem wskazywać będzie jako upadłe istoty i marnotrawne syny łask, które Bóg hojnie na Polskę wylęwał. Powiedzieć śmiało można, iż Polak tylko jeden na żadną narodowość obcą przetłómaczyć ani przekształcić się nie da.

Każdego obcego narodu karykaturalnym jesteśmy naśladownictwem, i gdy kto z nas przestaje być Polakiem, to w tenczas zaczyna być *niczém*. Ten stan nicości naszej coraz wydatniej objawia się w świecie, bo coraz częściej widzimy u nas ludzi, do których się ani Polacy, ani Francuzi, ani Niemcy, a tém mniej Słowianie przyznaćby mogli.

Jakiś rodzaj kosmopolityzmu stworzył zlepkę rozmaitych a pomieszanych przymiotów w duszy nowych pokoleń. Chodzące to są kalejdoskopy, które za każdym poruszeniem inną figurę przedstawiają. Tancerze menuetów salonowych, nie dorosłe dyplomaty, przerośli parafianie, uszczypliwi a grzeczni jak pokrzywa ukryta w pęku kwiatów, nic Słowiańskie i nic Polskiego nie mają. Chcieliby sprostać w uprzejmości Francuzom, a nie mogą, bo są zbyt jeszcze surowego wyrobu; i w głębokości Niemcom, a nie zdołają, bo są płytki; w powadze Anglikom a nie potrafią, gdyż w miejscu ambicyi posiadają tylko próżność. Zostają więc w zagadce dla wszystkich a nawet i dla siebie samych.

Jenne szczepy Słowiańskie, chociaż przymiotów duchowych w sobie nie rozwinęły, tak dalece, iż te przymioty leżą u nich jako ruda w kruszec nieprzetopiona, to jednak pozostały w swój prostocie, jakby nieoceniony materiał na przyszłe wielkiego narodu bogactwo. Sąto drogie kamienie bez poloru, które zdobić mają koronę z wielu gałązek splecioną. Między niemi Polska przeznaczoną była błyszczyć jako dyament czelny, już w pracy chrześcijańskiej wygładzony, ale pod warunkiem, iżby zachowała czystość swój wody i odblask prawdy. Jeżeli te przymioty utraci, to stanie się niegodną doliczać do ozdób rodowych klejnotów Słowiańskich.

Słowo jeszcze ostatnie przydam do tego rozdziału. Jak matka w pszczelnym ulu sama tylko nie posiada żądła, kiedy inne pszczoły pracownice są w nie uzbrojone: tak dzisiaj Polska wśród plemion Słowiańskich jedna tylko wszelkich środków zaczepki i obrony jest pozbawioną. Dzięki Bogu za to! bo dla niej walka z drugimi już się skończyła, a czeka ją ważniejsza praca, rodzicielstwa

wychowania i skupiania w jednym ulu robotnic, które zno-
 sić będą wspólny dorobek ku wspólnemu pożytkowi i ku
 wspólnej osłodzie. Niechaj więc Polska nie żałuje wy-
 trąconych z jej rąk bagnetów, ani utęsknia za wyrwanem
 jej żądłem, bo w słabości jej potęga, a w miłości jej
 zwycięstwo, a w wierze katolickiej jej rodzicielstwo.

O miłości nieprzyjaciół.

Kto się nad obyczajem społeczeństwa chrześcijańskie-
 go, wśród którego żyjemy, zastanowi, i porówna go z pra-
 wem Bożem, przyznać musi, iż zamiast postępować ku do-
 skonalszemu życiu przez zastosowanie ducha i czynu do
 świętych zbawiciela przepisów, cofamy się wstecz ku bar-
 barzyństwu, pogaństwu i żydowstwu. Jakoż u pogan przy-
 jaźń była rzeczą świętą, ale zemsta na nieprzyjaciółach
 była czynem zaszczytnym. U Żydów znowu (którzy wy-
 chodzili z dogmatu nieubłaganej sprawiedliwości Bożej),
 zemsta równoważyła krzywdę: „Oko za oko, ząb za ząb“.
 Prawo atoli odkupienia przyniosło dla całego świata nowy
 zupełnie przepis w miłości nieprzyjaciół i na nim cały
 porządek chrześcijański oparło. Nie ma prawa, któreby
 w Ewangelii świętej jaśniej i dobitniej wyrażone było, jak
 dogmat miłosierdzia i przebaczenia nieprzyjaciółom: on
 bowiem nadaje nową postać całemu układowi społecz-
 ństwa. Mówi Pan w Ewangelii Śgo Mateusza (w Rozd. V
 w. 43). „Słyszeliście, iż powiedziano: będziesz miłował
 bliźniego twego, a będziesz miał w nienawiści nieprzy-
 jaciela twego (w. 44). A ja wam powiadam: Miłujcie nie-
 przyjacióły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają
 w nienawiści, i módlcie się za prześladowające i potwarza-

jące was (w. 45) abyście byli Synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech.“

Chcąc zaś Chrystus Pan jeszcze wyraźniej oznaczyć różnicę zachodzącą pomiędzy starém prawem *sprawiedliwości* a nowém *miłosierdzia*, uczy nas w dalszym ciągu tej samej Ewangelii. „Słyszeliście iż rzeczone jest starym: nie będziesz zabijał: a ktoby zabił będzie winien sądu.“ (22) I znowu później: „Zgódź się z przeciwnikiem twoim: pókiś jest z nim w drodze: by cię snadź przeciwnik nie podał sędziemu, a sędzia by cię podał słudze, a byłbyś wrzucon do ciemnicy.“ (w. 25).

Na każdej karcie Ewangelii świętej również jak i w duchu całego pisma nowego zakonu przebija się nie tylko rada ale wyraźny rozkaz zbawiciela przebaczenia wzajemnych przewinień, i to jakoby w odwdzięczeniu stwórcy za odpust pierwородnego grzechu przez Chrystusa Pana przyniesiony. Jakoż zbawiciel, umieszczając nawet w modlitwie treść nowego prawa, pragnął, abyśmy codziennym ślubem względem Boga obowiązek odpuszczeniem winowajcom naszym potwierdzali. A w końcu nie tylko prawo Chrystusa ale i Jego przykład najwymowniej do nas przemawia. Ostatnia modlitwa umierającego syna Bożego była za nieprzyjaciółmi, albowiem stał się on niemal przed Ojcem rzecznikiem katów swoich mówiąc: „iż nie wiedzą co czynią.“ W zasadzie więc przebaczenie nieprzyjaciółom wedle prawa chrześcijańskiego stało się niemal koniecznym warunkiem zbawienia, gdyż jest warunkiem miłosierdzia Bożego nad nami. Że zaś każdy naród równie jak i każdy człowiek stoi w rachunku przed Bogiem i za własne i za przodków grzechy, przeto jedyny mu zostaje sposób złagodzenia sądu Bożego, ofiarując w zamian miłość nieprzyjaciół.

Kiedy się jednak o nieprzyjaciółach mówi, to należy nader ważne uczynić rozróżnienie między nieprzyjaciółmi ciała a wrogami duszy. Nie tych albowiem obawiać się rozkazał Chrystus, którzy śmierć zadają ciału, ale tych, którzy zabijają duszę. Z tymi ostatnimi w żadną nie możemy wchodzić transakcją, i ci to rzeczywiście są głównymi naszymi nieprzyjaciółmi, albowiem są zawistnymi Bogu, i oddalając nas od niego, są też sprawcami naszego potępienia. Tacy zaś nie tylko znajdują się zewnątrz narodu, ale są też pomiędzy nami i są z narodu; podobni do wrzoda toczącego ciało, który nie tylko z zewnętrznej przychodzi zarazy, ale i z wewnętrznego psucia się soków wyrasta. Ci, którzy w nas rozburzają zasady wiary i moralności, którzy niszczą w narodzie cnoty plemienne, słowem ci wszyscy, którzy nas od Boga i jego prawdy odwodzą, i którzy od wierności dla kościoła katolickiego odprowadzają, ci wszyscy są w istocie nieprzyjaciółmi naszymi i z tymi zawierać nie możemy sojuszu.

Sformułować więc zadanie nasze pod względem stosunków z nieprzyjaciółmi w ten sposób powinniśmy: iż wszelki nieprzyjaciel Boga jest nieprzyjacielem naszym i ojczyzny naszej, albowiem wprowadza między nas piekło. Wszelki zaś nieprzyjaciel nasz osobisty czyli ciała naszego, lub kraju naszego, mniej nam szkodzi, gdyż nas przez chłostę do Boga popędza, a przez niego skracamy czyściec nasz. Wreszcie na ucisk jest lekarstwo, a dla śmierci doczesnej jest też zmartwychwstanie; ale na śmierć ducha nie ma ratunku. Dopóki więc bicz prześladowania duszy nie obrazi, dopóty, chociaż jest chłosta bolesną, przecież cios nie jest śmiertelnym, i często dopuszcza jój Bóg, dla wywołania uspionej działalności ducha, a zsyła na cały naród

karę, jakby ogień oczyszczający surową rudę na kruszec bogaty.

Lecz twartrato rzecz powiedzieć Polakowi, aby kochał nieprzyjaciół swoich; przebaczył tym, którzy go uciskają i modlił się za tych właśnie, którzy go prześladowają. Ciężka to rada: stręczyć miłość w miejsce zemsty, która się wrabia w krew i w ducha pokrzywdzonego narodu!.. A przecież w tym jednym środku cała jest nadzieja doczesnego i wiecznego zbawienia tak indywiduów jak i ojczyzny.

Bóg od nas już nie pyta ofiary z dóbr doczesnych i z majątku, bo wie, iżbyśmy wszystkie korzyści ziemskie na ołtarzu ojczyzny złożyli. I nie domaga się ofiary z krwi naszej, bo nas zna, a wie, iżbyśmy wszystką krew za sprawę kraju przelali. Wyższej chce od nas ofiary, to jest złożenia zemsty naszej i złagodzenia duchowego żalu. Dociska więc ciało narodu Polskiego dopóty, dopóki niewydobędzie z serc słowa przebaczenia i miłości, i dopóki nie zawołamy w połączeniu się z Chrytusem do pana i ojca: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!“

A wreszcie do zwyciężenia nieprzyjaciół potrzeba tylko siły zwierzęcej, kiedy do przebaczenia potrzeba siły ducha, wyższą łaską natchnionego. Po zwyciężeniu siłą ramienia uwalnia się dopiero od nieprzyjaciela; po przebaczeniu zaś, zyskuje się przyjaciela. Polak więc, który z wyższych przymiotów ducha i z wybraństwa Bożego bliższym jest anioła jak zwierzęcia, użyje raczej téj siły, która jest odpowiednią jego szlachetnemu przyrodzeniu.

Przeczuwam jednak zarzuty ruchliwej publiczności, a wiem, iż mnie wielu osądzi, jakobym stręczył poddanie się złemu, zgodzenie się na stan upadku, złożenie broni, i rozpaczliwe przyzwolenie na niesprawiedliwość, a

uświęcenie krzywdy. Na to odpowiem krytykom moim: iż ja w przebaczeniu nieprzyjaciołom wygraną a nie przegraną dla mego narodu widzę, i niechęć, aby naród był pobitym w miłości, ale raczej iżby zwyciężył miłością. Jeśli bowiem pokora i miłość niebiosa zniewala i Boga rozbraja, to tém łatwiej zawiść ludzką zwycięża. Widziałem często ludzi nader mściwych, którzy tak byli upokorzeni przebaczeniem strony pokrzywdzonej, iż całe życie nie wystarczało im ku odwdzięczeniu szlachetnego względem nich postępku. Ta więc teorya jest pewną i nieomylną, bo na prawie Bożém i na prawie przyrodzoném opartą, a nawet dogadza w pewnym względzie uczuciu szlachetnej zemsty, albowiem nie ma więcéj upokarzającej kary dla napastnika jak wspaniałomyślne przebaczenie ze strony pokrzywdzonego.

Jakież więc praktyczne zastosowanie mogłaby Polska z powyższych uwag zrobić? Oto niechaj sąd o krzywdzie swojej zostawi Bogu.... zemstę krwawą niech złoży mu w ofierze, myśli odwetu niechaj odstąpi, a szlachetną miłość względem nieprzyjaciół w sercu swoim niech obudzi.

Ależ miłość nie na tém zależy, iżby grzech nieprzyjaciela podzielać, i cnót własnych odstąpiwszy, w jednej obrazie Boga z nim się łączyć. Ani nie na tém, aby w upodleniu przed nim stawać i podchlébstwem przeciągać go na swoją stronę; ani téż w końcu nie zależy na wyrzeczeniu się swój przeszłości i przyszłości, na poniżeniu ducha swego i poświęceniu nadziei; nie bynajmniej! Kto przebacza, ten owszem zyskuje na godności, ale onéj nie traci, a tém samém zostaje przy swém prawie, a w nadmiar wzbogaca się korzyścią nowéj przed Bogiem zasługi. Z przebaczenia nieprzyjaciołom płynie nie tylko prawo do większych nadziei ale i do pewności miłosierdzia Bo-

żego, a zład téż nie tylko sprawy narodowej lekkomyślnie nie poświęcimy, ale owszem nową ją cnotą wzbo-
gacimy, nowym urokiem świętości odziejemy.

W postępowaniu więc z tymi, którzy zewnątrz nas uciskają, umiemy zachować godność i miłosierdzie; *miłosierdzie* mówię: bo rzeczywiście oni raczej naszego a nie my ich potrzebujemy miłosierdzia. Starajmy się względem nich zachować sprawiedliwość, przyznając w nich dobrą stronę, jeśli ją w czémkolwiek upatrzymy, i szanując w nich prawdę, o ile onę posiadają. Prawa dobre (a z przepisami Boskimi zgodne) szczerze im pochwalmy i wspólnie je z nimi rozwijajmy, cierpliwie i z godnością znosząc te, które nas wyjątkowo dociskają.

Strzeżmy się straszyć ich zemstą naszą i mroć pogroźkami, albowiem groźba większą jest nieraz obrazą ducha jak sam czyn, gdyż drażni miłość własną i wyzywa do walki.

Nie udawajmy fałszywej miłości w obłudnych oświadczeniach i brataniu się w sposób światowy (niby to pufały) a w gruncie zdradliwy, lecz zachowujmy względem nich życzliwość chrześcijańską, każdemu z bliźnich przynależną.

Nie przechwalajmy się nadziejami przyszłych przeznaczeń naszych, albowiem każda przechwałka budzi albo zazdrość albo wzgardę. Dla tego bądźmy poważni, wewnętrzni i w sobie skupieni; wielkato bowiem jest siła owo ześrodkowanie ducha i jakby zgromadzenie rozprószonej myśli w jeden punkt woli.

Zwyczaj był w Polsce, aby obcych nam ludzi unikać, i na tém polegał patryotyzm, iżby ich zdaleka obchodzić. Ten zwyczaj był szkodliwy, albowiem zaostrzał niechęć i zemstę. Do życzenia jest przeto, aby Polacy

przyjęli pewien takt pośredni, który im nawet (obok prawa miłości) sama przyzwoitość nastęrcza. Niechaj przeto zachowują pewną uprzejmość, która ani się za nikim nie uganiania ani też unika, lecz się układa z przeciwnymi żywiołami do pewnej towarzyskiej harmonii, nie będącej wcale ani poufałą przyjaźnią, ani też usystematyzowanym rozdziałem.

Im więc Polska powracać będzie do wiary, i im więcej badać się nauczy obowiązków swoich z prawa chrześcijańskiego płynących, tém łatwiej jej przyjdzie dopełniać prawa miłości, i przez nią rozbrajać zaostrzone niechęci, a tém samym zwyciężać bez broni i zniewalać potęgą wyższego ducha.

To prawo jest na wszystkie czasy, a przecież nieprzesadza ani praw ani środków, jakie Bóg złożył w łonie narodu. Prawo miłości nie cierpi przedawnienia, tak, jak i prawo obrony jest wrodzonym człowiekowi. Niechodzi więc o poddanie się niewolnicze, ale o miłość płynącą z wolności, i o przebaczenie płynące z miłości. Chodzi o zniewolenie Boga dla nas przez chętnie poświęcenie mu krzywd naszych. Chodzi o wzbudzenie w sercach nadziei przez zniewolenie, i rozbrojenie w duchu nieprzyjaciół naszych, a tém samym przez odwrócenie od nas ich zemsty. Najwięcej zaś chodzi o spełnienie miłej Bogu ofiary i dopełnienie prawa, które my w świecie jako najwięcej cierpiący w czyn wprowadzać mamy, i zacząć może powszechnie z miecza rozbrojenie. Na tém więc rzeczywiście sprawa nasza zahaczoną i w niebie i na ziemi, przed Bogiem i u ludzi jest.

**INSTYTUT
DAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-33



F

3597